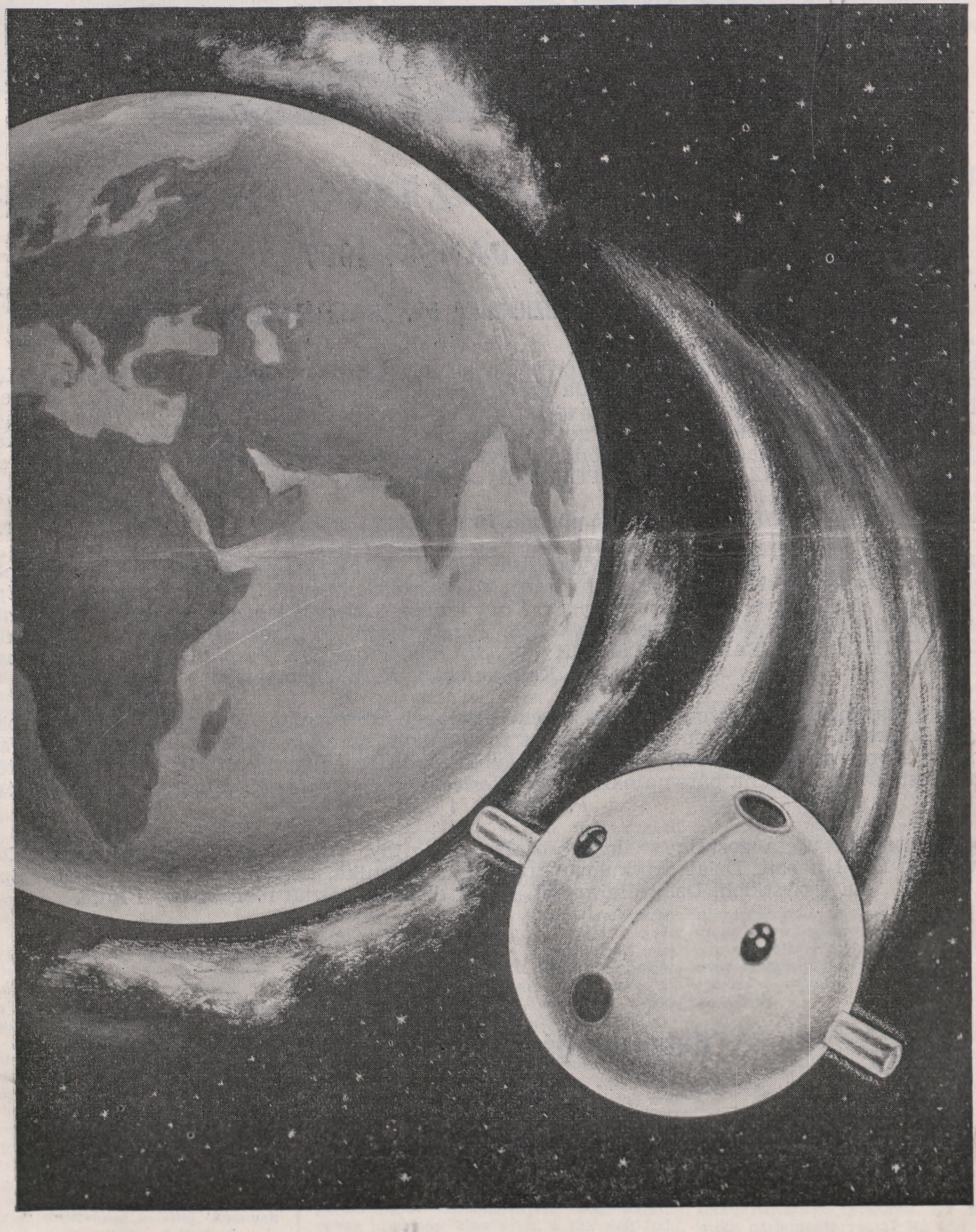
ŻYCIE



SZTUCZNY SATELITA ZIEMI (do art. na str. 11-ej). Rys. Stefan Baran

ROK X — NR 41 (485) LONDYN, NIEDZIELA 7 PAŹDZIERNIKA 1956 R.
CENA NUMERU: szyl. 1/-; dol. 0.20; fr. fr. 50; fr. belg. 7.00; fr. szw. 0.60; kr. szw. 0.80; lirów 90; D.M. 0.60.
W krajach Ameryki Połudn. — równowartość $ 0.20.



KALENDARZ RODZINY POLSKIEJ

NA ROK PAŃSKI 1957

JEST JUŻ GOTÓW I OD 10 PAŹDZIERNIKA BR. ZNAJDZIE SIĘ W SPRZEDAŻY

Redakcja popularnego kalendarza, który od wielu lat ukazuje się na emigracji pod nazwą KALENDARZA RODZINY POLSKIEJ, opracowała nowy rocznik ze szczególną starannością. Ponieważ wielu Czytelników skarżyło się na zbyt wielki a więc i nieporęczny format, w roku bieżącym format został nieco zmniejszony, za to dodano więcej stronic, których łącznie z wkładką jest teraz 268. Ponieważ powiększenie liczby stron nie wyrównuje w pełni zmniejszenia formatu, cena KALENDARZA RODZINY POLSKIEJ została nieco obniżona:

wynosi ona: szyl. 6/6, dol. 1.00, fr. fr. 325 plus na opakowanie i przesyłkę szyl. 1/-, dol. 0.15, fr fr. 50.

Bogactwo i rozmaitość materiału są wyjątkowe. Około 80 artykułów, nowel, humoresek pióra wybitnych pisarzy polskich. Wśród nich prace: *I. Bielatowiczowej, M. Bochnarowej, T. Felsztyna, J. Giertycha, M. Jóźwiaka, M. Kasterskiej, St. Kossowskiej, S. Legeżyńskiego, S. Leszczyc-Grabianki, A. Milkera, B. Obertyńskiej, J. Otwinowskiej, B. Przyłuskiego, J. Radzymińskiej, W. Zaleskiego.* TEKSTY WIELKICH PISARZY POLSKICH: *Wł. St. Reymonta, St. Wyspiańskiego, J. U. Niemcewicza, J .Lieberta, M. Konopnickiej, K. Wierzyńskiego i innych.*

Specjalną starannością otoczona została strona ilustracyjna: w sumie „Kalendarz" przynosi około dwustu ilustracji, rysunków, fotografii, winiet i zdobników, w czym wiele dwukolorowych. Wśród artystów, którzy zdobili ten tom, znajdują się wybitni graficy emigracyjni: *D. Laskowska* (której układu jest również piękna barwna okładka, *T. Terlecki, J. Smagała. M. Milkerowa, J. Tyszyńska, P. Mleczko i inni.*

Całość materiału ujęta została w liczne działy: Religijny, Informacji kalendarzowych, Dział opowiadań, Dział poezji, Dział artykułów, Przyroda i technika, Szkolnictwo na emigracji, Sport dla wszystkich, Dział dla kobiet, Kącik dziecięcy, Dział rozrywkowy i inne.

W Y D A Ł:

Katolicki Ośrodek Wydawniczy

„VERITAS"

12, PRAED MEWS, LONDON, W. 2.

(England)

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ROK X — NR. 41(485) LONDYN, NIEDZIELA, 7 PAŹDZIERNIKA 1956



W ostatnim numerze „Po prostu", „tygodnika studentów i młodej inteligencji", wydawanego przez komunistyczny Związek Młodzieży Polskiej w Warszawie ukazał się artykuł Ryszarda Turskiego pt. „Lwów". Jest to jeden z pierwszych artykułów na łamach prasy reżymowej na temat Lwowa pod okupacją sowiecką. Artykuł ten przedrukowujemy na str. 4 i 5 bieżącego numeru. — Wyżej zamieszczona ilustracja przedstawia przedwojenne zdjęcie kościoła Bernardynów we Lwowie.

Na trzech stronach bieżącego numeru, poczynając od str. 11 zamieszczamy artykuł T. Felsztyna pt. „Sztuczny satelita w drodze". Artykuł ten omawia w sposób popularny naukowe zasady prac prowadzonych obecnie w wielu technicznych centrach świata, przede wszystkim amerykańskich i sowieckich, nad wystrzeleniem w przestrzeń sztucznego satelity globu ziemskiego, co ma stanowić wstęp do zapowiadanych coraz bardziej stanowczo podróży międzyplanetarnych. — Na okładce numeru znajduje się reprodukcja wizji artysty-malarza na temat obiegania ziemi przez sztucznego satelitę. Rysunek wykonał znany grafik polski S. Baran.

ŻYCIE KRAJU

JAKI TO MA BYĆ TEN „SEJM"?

Na zbraniu głównych działaczy tzw. Frontu Narodowego, które odbyło się przed miesiącem, reżym zapowiedział na połowę grudnia bież roku „wybory" do „Sejmu" (por. „Wybory w cudzysłowach", ŻYCIE, nr 37, str. 5). Mimo hucznych zapowiedzi o demokratyzacji wyborów, będą one w istocie jeszcze jedną fikcją systemu parlamentarnego. Reżym ma coraz więcej trudności w związku z tą jeszcze jedną fazą „odwilży". Społeczeństwo kpi sobie z tej liberalizacji, a komuniści szukają sposobów przedstawiania monopartyjności jako systemu demokratycznego.

Prof. Ehrlich w artykule ogłoszonym w „Nowej Kulturze" pt. „Parlament, ale jaki?" ubolewa nad upośledzeniem parlamentu w Polsce ludowej. Sejm wybrany w roku 1952 budził, jego zdaniem, wielkie nadzieje, że stanie się ośrodkiem życia politycznego Kraju, lecz oczekiwania te zawiodły. Działalność Sejmu stała się przedmiotem powszechnej krytyki, a choć w ostatnich czasach nastąpiła pewna poprawa, jest ona niewystarczająca. W grudniu mają się odbyć nowe wybory, tymczasem nikt dotąd nie ma jasnego obrazu, jak powinien wyglądać nowy Sejm i jego prace. Chcąc położyć kres tym niejasnościom, autor podejmuje się trudnego zadania nakreślenia roli parlamentu w demokracji ludowej.

Na wstępie gromi on tych nieopatrznych publicystów, którzy przyczynę niedomagań Sejmu ludowego widzą w zlekceważeniu wskazań ustrojowych Monteskiusza. Teoria Monteskiusza jest dla prof. Ehrlicha przeżytkiem, wyrazem kompromisu feudalno-mieszczańskiego. Jego ambicje sięgają wyżej: wywodzi on genealogię demokratyczno-ludowych urządzeń ustrojowych od Jana Jakuba Rousseau. Sejm ludowy powinien być, jak w doktrynie tego teoretyka rewolucji francuskiej, władzą nadrzędną w systemie władz państwowych.

Parlamenty ludowe i burżuazyjne. Dlaczego parlament demokratyczno-ludowy nie stał się dotąd taką władzą? Przyczyną były wypaczenia w życiu partyjnym i państwowym oraz łamanie praworządności. Okres ten wszakże minął po XX zjeździe i dziś nie ma już przeszkód, aby nowowybrany Sejm stanął na wysokości swych zadań.

Sejm ten nie może być naśladownictwem parlamentów burżuazyjnych, stanowiących wyraz interesów klasowych, a nie woli ludu, musi on mieć własne oblicze. Koncepcja Sejmu ludowego, odbiega, według autora, pod wieloma względami od koncepcji burżuazyjnych ciał ustawodawczych. Po pierwsze, istotą tej koncepcji jest zasada przewagi przedstawicielstwa ludowego nad wszystkimi innymi organami władzy, jego nadrzędność, wyrażająca się w monopolu władzy ustawodawczej i kontroli egzekutywy. W państwach kapitalistycznych, jak wiadomo, parlament odgrywa rolę drugorzędną, jest podporządkowany egzekutywie. Po drugie, Sejm ludowy jest organicznie powiązany z radami narodowymi poprzez Radę Państwa sprawującą nadzór nad działalnością tych rad. Dlaczego powierzenie emanacji Sejmu w postaci Rady Państwa czynności administracyjnych miałoby świadczyć o wyższości parlamentu ludowego nad parlamentami burżuazyjnymi, tego profesor nie wyjaśnia, a raczej próbuje to uczynić w sposób niezwykle mętny. Po trzecie, obywatele w ustroju demokratyczno-ludowym mają, w odróżnieniu od obywateli państw burżuazyjnych, prawo odwoływania posłów, z którego co prawda dla braku odpowiednich przepisów korzystać nie mogą.

Sejm i partia. Analiza roli Sejmu w demokracji ludowej musiała nasunąć autorowi zagadnienie stosunku Sejmu do partii. Istnieją poglądy — oświadcza on — że w państwie socjalistycznym rola Sejmu niewiele może odbiegać od dotychczasowej. Poglądy te autor określa jako „niebezpieczną teoryjkę" wywodzącą swój rodowód od „sierot po Berii". Partia komunistyczna nie jest władzą, nie dysponuje bowiem środkami przymusu państwowego. Uchwały partii wiążą tylko jej członków, innych zaś obywateli tylko wtedy, gdy sami się uważają za nimi związanych. Uchwały te nadają jedynie kierunek działalności Sejmu, którego zadaniem jest nadawanie im w ogniu dyskusji właściwej formy prawnej. Wzmocnienie pozycji Sejmu w państwie demokratyczno-ludowym w niczym nie uchybia — zdaniem profesora — kierowniczej roli partii.

Volonté générale. Trudno się oprzeć uczuciu głębokiego zażenowania, gdy się czyta te wywody, wyszłe wprawdzie spod pióra komunisty, lecz bądź co bądź profesora uniwersytetu, nie odczuwającego nawet śmieszności odwoływania się do Rousseau i Jakobinów francuskich. Student pierwszego kursu prawa mógłby odpowiedzieć na te wywody postawieniem kilku elementarnych pytań, które musiałyby wprowadzić w pewien kłopot komunistycznego profesora. Na czym polega istota parlamentaryzmu? Na idei reprezentacji obywateli. W jaki sposób demokracje współczesne realizują ideę reprezentacji?

Poprzez powszechne, równe, tajne i bezpośrednie wybory. Czy Sejm w Polse powstał z takich wyborów? Nie, powstał w drodze głosowania na jedną listę kandydatów dobranych przez organizacje partyjne. Głosowonie nie jest równoznaczne z wyborami, wyborca, aby wybrać, musi mieć alternatywę. Co więc reprezentuje Sejm, powołany w drodze procedury zwanej przez komunistów wyborami? Odpowiedź na to pytanie pozostawiamy prof. Ehrlichowi.

Partia nie jest władzą — oświadcza prof Ehrlich — gdyż nie rozporządza środkami przymusu. Niestety, wszystkie władze państwowe w ustroju sowieckim i pokrewnych podporządkowane są partii i wszystkie środki przymusu państwowego stoją do jej dyspozycji. Nie tylko władze, lecz też organizacje zwane „społecznymi" i przybudówki partyjne w rodzaju dwóch rzekomo odrębnych stronnictw politycznych, są, jak głosi teoria ustroju, jedynie „transmisją woli partii do mas". Nawet fikcja reprezentacji, której bronić chce prof. Ehrlich, nasuwa komunistom warszawskim różnice opinii. Sejm czy partia reprezentuje „wolę ludu"? Według p. Ehrlicha — Sejm, według Cyrankiewicza — partia. Powołujemy się na ipsissima verba warszawskiego premiera. Uchwały VII plenum KC — oświadczył on w ostatnim swym wystąpieniu w Sejmie — „przyjęte zostały z powszechną aprobatą i mogą być z całą pewnością uważane za wyraz woli ludu". W istocie ani Sejm, ani partia nie otrzymały nawet cienia mandatu od narodu do reprezentowania jego woli.

Uchwały te — mówił Cyrankiewicz — „będą i są podstawą działania rządu". Rząd więc nie zamierza nawet czekać na wykonanie przez Sejm czynności technicznej, polegającej na przyobleczeniu uchwał w formę ustaw. W rozszerzeniu takich czynności technicznych widzi prof. Ehrlich drogę do podniesienia autorytetu Sejmu, lecz uchwały KC stały się już dla rządu prawem. Reszta jest tylko czczą formalnością.

Polityka i administracja. Partie w demokracjach Zachodu układają również swe programy polityczne, lecz realizacja tych programów odbywa się w walce parlamentarnej. W Sejmie ludowym walki być nie może, gdyż składa się on z komunistów, bądź ludzi uległych woli partii. Gdy się przegląda wystąpienia „posłów" na ostatniej sesji sejmowej, łatwo zauważyć, że zezwolono im na krytykę administracji, zakazano natomiast wkraczania w dziedzinę polityki. Zagadnienia polityki wewnętrznej i międzynarodowej, stanowiące najistotniejszy przedmiot debat parlamentarnych w demokracjach Zachodu, są spod kompetencji Sejmu ludowego wyłączone.

Wreszcie sprawa kontroli. Czy prof. Ehrlich, mógłby sobie wyobrazić uchwalenie przez Sejm rządowi wotum nieufności? Czy w ogóle postawienie takiego wniosku w Sejmie byłoby możliwe? A gdyby, w wyniku jakichś fantastycznych powikłań, doszło do podobnego incydentu, jakby zareagował nań Komitet Centralny? Uznano by to zapewne za początek kontrrewolucji.

Nie Sejm bowiem, lecz władze partii decydują o ustąpieniu rządu lub ministra, a nawet i te władze niewiele mają do powiedzenia w tej sprawie. Rozstrzyga wola Bułganina lub Chruszczowa.

Być może, że prof. Ehrlich nie jest tak zakłamany lub naiwny, jak mogłoby to wynikać z jego artykułu. Podejmuje on jednak beznadziejny trud wyjścia z koła ustrojowych fikcji bez naruszenia zasad partyjnej dyktatury. Jest to kwadratura koła.

Leon Kownacki

LWÓW

W tygodniku reżymowym „Po prostu", który ostatnio zamieszcza sporo kłopotliwych dla góry komunistycznej artykułów, znalazł się reportaż o Lwowie (nr 38 z dnia 16 września br.). Artykuł ten przedrukowujemy, uważając, iż — niezależnie od garści informacji — jest on bardzo znamienny dla obecnych stosunków w Polsce, zarówno w tym, co mówi, jak i w tym, czego nie dopowiada. **Red.**

GDY W PIERWSZYCH dniach sierpnia wyjeżdżałem do Kijowa z zamiarem zwiedzenia co główniejszych miast Ukrainy, wszyscy przyjaciele obdarowywali mnie na gwałt najprzeróżniejszymi radami. X, lwowianin, radził:

...Musisz być koniecznie we Lwowie. W ciągu ostatnich dwunastu lat nikt u nas o tym mieście nie pisał. O ile informacje, którymi dysponuję, są ścisłe, Lwów zachował charakter polskiego miasta. To polska wyspa w ukraińskim morzu...

Początkowe wrażenia i obserwacje z miasta, z którym zetknąłem się w sierpniu 1956 roku po raz pierwszy w życiu zdawały się potwierdzać w całej rozciągłości opinię X-a.

Przyjazd z dworca lotniczego — niedawno zbudowanego, najbardziej chyba na Ukrainie eleganckiego — do Hotelu „Inturist" (dawniej „George") budzi mimo woli pierwszą refleksję: jedziemy ulicami polskiego miasta. Architektonicznie i urbanistycznie niczym prawie nie przypomina wielkich miast Ukrainy. Gdyby już koniecznie trzeba było snuć jakieś analogie, to raczej z Krakowem i Warszawą niż z Kijowem. Wrażenie potęgują... kwiaty. Są one zupełnie inne od kwiatów wszystkich miast Ukrainy — są takie same jak w Lublinie, Warszawie, Krakowie.

Pierwsze minuty pobytu w hotelu. Cała niemal obsługa zna język polski. W łazience napisy na kurkach od wody zachowały się w języku polskim: „zimna", „gorąca". Przed hotelem przejście jezdnią wykładane płytkami z mosiądzu czy miedzi. Na płytkach reklamy w języku polskim jakichś firm, oczywiście przedwojennych. W odległości kilkudziesięciu metrów od hotelu pomnik Mickiewicza. (A propos pomnika Mickiewicza. Był on podczas mojego pobytu nieprzerwanie oblężony przez grupki wycieczkowiczów pozujących z różnych stron do zdjęć. W rozmowach mogłem skonstatować, że zarówno mieszkańcom Lwowa jak i wycieczkowiczom pomnik po prostu podoba się bardzo. W hierarchii wartości estetycznych miasta daje mu się tu rangę bardzo wysoką, jeśli nawet nie najwyższą.)

Zapada zmierzch, zapalają się pierwsze latarnie. Błądzę ulicami miasta. Początkowe wrażenia o polskim charakterze Lwowa potwierdzają się. Styl ubierania się jego mieszkańców kontrastowo różny od mody na przykład kijowskiej. Ludzie ubierają się tu estetycznie, nowocześnie, w miarę elegancko, w każdym bądź razie nieporównanie bardziej elegancko niż w Kijowie. Przypominam sobie fragment jakiejś rozmowy, z której wynikało, że jeśli ktoś chce się bardzo elegancko ubierać i mieszka we wspomnianym Kijowie, to obowiązkowo przyjeżdża do Lwowa i tu dokonuje zamówień. Lwów dyktuje modę dla Ukrainy, jak Ryga i Tallin dla Rosji — przypominam sobie inne zdanie, zasłyszane gdzieś na Krymie.

Jaki charakter ma moda lwowska? — interesuje zapewne czytelników. Przypomina zupełnie warszawską sprzed półtora mniej więcej roku. Jak mnie poinformowano, przychodzi ona z Warszawy do Lwowa sukcesywnie, z takim na ogół odstępem czasu. Co kilkadziesiąt dosłownie kroków zakład krawiecki, przyjmujący zamówienia z materiału własnego i powierzonego. Jest ich we Lwowie chyba więcej niż w największych kilku miastach Ukrainy razem wziętych.

Zaglądam do pierwszego napotkanego kościoła, jak się potem okazuje, katedry. Rozkład nabożeństw w języku polskim. Obok klepsydra drukowana w...Krakowie, obwieszczająca śmierć jakiegoś profesora wrocławskiego.

Następnego dnia w godzinach rannych, spotkanie z przedstawicielami władz. Próbuję prowadzić rozmowę w języku rosyjskim. Moi rozmówcy jednak zupełnie przyzwoitą polszczyzną oświadczają, że możemy porozumieć się w języku polskim. Pochodzą z terenu Ukrainy zachodniej, język nasz poznali w szkole polskiej.

Przyjeżdżamy na cmentarz Łyczakowski. Na pierwszym spotkanym pomniku olbrzymimi literami wyryta sentencja: „Odpoczną i wstaną". Napisy na grobach niemal wszystkie w języku polskim. Szukamy wśród nich grobowców Konopnickiej i Zapolskiej. Wkrótce znajdujemy je. Jest nas tu dwóch z Polski. Obaj jednocześnie zadajemy pytanie: „Dlaczego nie sprowadza się ich prochów do kraju"?.

Po zwiedzeniu cmentarza wracam do obserwacji życia. Interesuje mnie nadal pytanie: na ile słuszna jest opinia mojego przyjaciela X-a, że Lwów to polska wyspa w ukraińskim morzu?

Nie będę zapoznawał czytelników z całym procesem kształtowania się odpowiedzi na to pytanie. Byłoby to zbyt nużące. Ograniczę się do podania ostatecznego efektu tegoż procesu. Lwów, wbrew sugestiom stwarzanym przez pierwsze powierzchowne wrażenia i obserwacje, nie jest w swoim charakterze, w swojej istocie, miastem polskim. Lwów jest obecnie najbardziej ukraińskim miastem na Ukrainie. Opinia moja wydawać się może paradoksalna. Niemniej przekonany jestem najgłębiej, że jest prawdziwa. Na poparcie jej kilka spostrzeżeń i uwag.

Drobny pozornie szczegół: bardzo mało można spotkać we Lwowie wypadków, aby obok napisu — nazwy sklepu, instytucji itd. w języku ukraińskim był tuż obok, z drugiej strony, jego odpowiednik w języku rosyjskim. We wszystkich innych miastach Ukrainy taki odpowiednik z reguły znajduje się.

Język uliczny przechodniów, publiczności w teatrze, kinie — prawie wyłącznie ukraiński. Język rosyjski, nie mówiąc już o polskim, niełatwo usłyszeć. Nie można byłoby tego samego powiedzieć na przykład o Kijowie czy Zaporożu. Na ulicach, w sklepach, teatrach itd. często spotyka się język rosyjski. Niejednokrotnie częściej nawet rosyjski niż ukraiński.

Inteligencja lwowska — sądzę, że ze wszystkich głównych miast Ukrainy — w większym stopniu ukraińska. Wydaje mi się, chociaż lojalnie przyznaję, nie jestem tego całkowicie pewien, że uwaga ta odnosi się również do składu aparatu partyjnego, państwowego.

Lwowski świat kulturalny, pisarski — tak jak chyba nigdzie indziej związany ściśle z tradycjami, formami, treściami narodowej kultury, literatury ukraińskiej. Odniosłem wrażenie — być może zbyt przesadne, zbyt subiektywne — że Lwów niebawem, tzn. w ciągu najbliższych lat, stanie się umysłowym, kulturalnym centrum Ukrainy.

Ludność Lwowa — stanowiąca w swoim charakterze żywioł ukraiński, rekrutuje się głównie z terenów Zachodniej Ukrainy. Inteligencja z miasteczek Stanisławowskiego, Łuckiego i Równieńskiego.

A polska ludność Lwowa? Czy wyróżnia się czymś w życiu miasta, czy odgrywa jakąś szczególną rolę? W jakim stosunku pozostaje jej faktyczna rola do twierdzenia, że Lwów to obecnie polska wyspa w ukraińskim morzu?

Ludności polskiej jest obecnie we Lwowie okoł 12-14 tysięcy. Obserwacje, które poczyniłem, nie upoważniają mnie do wysunięcia twierdzenia, że jest to element dynamiczny. Wręcz przeciwnie. Decydujące piętno społeczności polskiej w Lwowie nadają ludzie starsi i starzy. Liczba młodych małżeństw polskich, posiadających dzieci, procentowo — o ile mogłem zorientować się — maleje. Ta kategoria ludzi przede wszystkim wyjeżdża w ostatnich latach, a właściwie miesiącach, do Polski.

Jakie są motywy, które skłaniają Polaków — mieszkańców Lwowa — do pozostania w mieście, bądź wyjazdu do Polski?

Zamiast próby ogólnej odpowiedzi, kilka autentycznych rozmów, w których ten problem poruszałem.

Kobieta w wieku około 30 lat. Nie pracuje, należy do nielicznej kategorii mieszkańców Lwowa, którzy zajmują się handlem. Do kraju chce przyjechać jak najszybciej — „...tam u was na pewno są większe możliwości dla interesów".

Dwoje staruszków. Nie opuszczą nigdy Lwowa. Tu pochowani są ich wszyscy najbliżsi. W kraju mają raczej dalszych krewnych.

Inna para staruszków. Na moje pytanie, czy nie zamierzają przyjechać do kraju, odpowiedzieli z nietajonym oburzeniem: „My Lwowa nie zdradzimy".



Lwów: pomnik Adama Mickiewicza (zdjęcie przedwojenne)

Staruszek — sklerotyczny, jak mi się wydaje — właściciel domku na przedmieściach miasta: „Wracać? A po co? Przecież niedługo i tak Lwów zostanie przyłączony do Polski".

Mężczyzna, około 45-50 lat. Nie przyjedzie do Polski. „ W Warszawie żywność droższa dwukrotnie, papierosy kilkakrotnie. Nieźle zarabiam, nacierpiałem się w życiu nędzy, ostatnie przynamniej lata chcę spokojnie przeżyć."

Małżeństwo z dwojgiem dzieci: „Staramy się o wyjazd do Polski. Nie chcemy, aby dzieci zatraciły polskość".

Poważna grupa Polaków i Polek zawarła związki małżeńskie z Ukrainkami, Ukraińcami. Kandydatów na wyjazd jest wśród nich bardzo mało.

Cóż jeszcze można powiedzieć o kolonii polskiej we Lwowie?

Czynne są tu trzy szkoły z językiem wykładowym polskim — dwie podstawowe i jedna dziesięciolatka. Ilość dzieci w klasach młodszych zmniejsza się jednak systematycznie. Zjawisko to spowodowane jest głównie dwoma czynnikami, o których wspominałem już — z jednej strony ukrainizacja pewnych rodzin, zwłaszcza mieszanych, z drugiej zaś intensywny ruch migracyjny do Polski rodzin posiadających nieletnie dzieci.

Od stycznia br. otwarto w centralnej księgarni Lwowa dział książki polskiej. Cieszy się ona tu ogromnym powodzeniem, i to nie tylko u ludności polskiej. Wśród kupujących spotykałem niemało i Ukraińców, znających język polski. Popyt kilkakrotnie przewyższa podaż. Najszybciej rozchodzą się klasycy, a przede wszystkim Sienkiewicz, Prus, Mickiewicz, Orzeszkowa.

Trzecią instytucją, w której ogniskuje się życie polskie we Lwowie, są kościoły katolickie. Czynna jest katedra, jak już wspomniałem, oraz dwa inne kościoły, których nazw niestety nie zapamiętałem. Pytałem funkcjonariuszy kościelnych, czy ta liczba kościołów jest wystarczająca dla potrzeb wiernych. Otrzymałem odpowiedź twierdzącą. Sam mogłem zresztą się o tym przekonać. Podczas sumy katedra była wprawdzie pełna, ale bynajmniej nie przepełniona, daleka od zagęszczenia, obserwowanego w niedzielę w niektórych warszawskich kościołach.

Przedstawione tu instytucjonalne elementy polskiego życia we Lwowie nie tworzą zbyt imponującego obrazu. Są nieporównanie skromniejsze, niż np. w Wilnie gdzie jest i wyższa polska uczelnia i kilkadziesiąt gazet, wydawanych w języku polskim i wydawnictwo polskiej literatury. Paradoksalne jest, że rozwój elementów polskiego życia kulturalnego, umysłowego był o wiele większy w latach trzydziestych w Kijowie niż obecnie we Lwowie. Działał wówczas w stolicy Ukrainy teatr polski, poważne wydawnictwo literatury polskiej, istniały sekcje polskie na niektórych wydziałach Uniwersytetu Kijowskiego.

W październiku Lwów będzie uroczyście obchodził 700-lecie założenia miasta. Może ta rocznica da asumpt do przerwania w prasie wstydliwego, nieuzasadnionego niczym spisku milczenia wokół Lwowa? „Kompleks lwowski", jeśli nawet istnieje w niektórych kręgach naszego społeczeństwa, nie zniknie przez to, że będziemy sprawiać wrażenie — tak jak dotychczas — jakoby zależało nam na tym, aby przekonać wszystkich, iż Lwów... w ogóle nie istnieje.

Ryszard Turski

PS. 1) Inny mój przyjaciel Y, radził mi, aby koniecznie zobaczyć słynne rzekomo freski w katedrze ormiańskiej we Lwowie. Próbowałem z rady skorzystać, niestety jednak, bez rezultatu. Katedra jest nieczynna. Obrócona została na magazyn dla przemysłu spożywczego.



Lwów: pomnik Adama Mickiewicza (zdjęcie z „Po prostu")

PS. 2) Mieczysław Szczepański s. Jana, b. żołnierz AK, który po 12 latach wrócił z Północy do Lwowa i od 4 miesięcy nie może porozumieć się z rodziną, przebywającą obecnie w Polsce, zwrócił się do mnie z prośbą o przyśpieszenie poszukiwań. Czyniąc zadość jego prośbie, poza innymi możliwościami, korzystam również z łam „Po prostu", aby zawiadomić o tym żonę, ob. Szczepańskiego, Annę Szczepańską, c. Marka i Marii z Gawlikowskich, ur. w 1918 roku, syna Bogdana, ur. w 1939 r. i córkę Danutę ur. w 1943 r.

Czytelników, którzy znają lub znali wymienionych, proszę o skomunikowanie się ze mną. **R. T.**

Wytłuszczenia niektórych akapitów w powyższym przedruku pochodzą od redakcji ŻYCIA.

NIEFORTUNNY POGROMCA RELIGII

W prasie komunistycznej w Polsce rozpowszechniły się bardzo szeroko tzw. fraszki, dwu lub czterowiersze, które mają „chłostać biczem satyry" różne bolączki życiowe. Moda fraszek jest bardzo natrętna, a wiersze dość mierne w pomysłach.

Ogonek po śledzie. Tygodnik satyryczny „Szpilki" (nr 22 — 1956) zamieścił wśród dziewięciu fraszek różnych autorów i taką między innymi, pomysłu Jana Bolesława Ożoga, a pod tytułem „ Na dewotkę z ogonka":

Cichuteńko w ogonku czeka do spowiedzi,
aby kląć jak szewc potem w ogonku
do śledzi.

Kląć jak szewc, oczywiście, nie godzi się. Źle jednak musi być z poczuciem humoru redaktorów „Szpilek", skoro zamieszczając ten dwuwiersz nie zdawali sobie sprawy z tego, iż sedno mimowolnego dowcipu tkwi w samym fakcie istnienia ogonków po śledzie. Ogonki do konfesjonału mogą być, po śledzie — nie.

ŻYCIE KATOLICKIE

CYTAT

„Kryzys, którego doświadczamy jest wyjątkowy w historii... Dziękujmy Bogu, iż dozwolił nam żyć wśród obecnych problemów. Nikt nie może już być letnim. Każdy ma nieusuwalny obowiązek pamiętania, iż posiada do wypełnienia misję, aby — czyniąc rzeczy niemal niemożliwe w granicach swojej działalności — doprowadzić świat z powrotem do Chrystusa. Jedynie będąc radykalnymi w rzeczach słusznych będą mieli katolicy dynamizm do przeciwstawienia się radykałom w rzeczach błędnych i do zdobycia świata dla Chrystusa."

(Papież Pius XII)

O ZŁUDZIE FAŁSZYWEJ KOEGZYSTENCJI

W doniosłym orędziu radiowym, przekazanym z Castel Gandolfo w dniu 2 września br. do katolików Niemiec, zebranych w Kolonii na swym 77 Krajowym Zjeździe (Katholikentag), Ojciec św. Pius XII przypomniał światu szereg aktualnych zasad dotyczących roli Kościoła, pokoju społecznego i politycznego. Podajemy z tego orędzia obszerne wyjątki. — RED.

Po wstępie odnoszącym się ściśle do Zjazdu Katolików Niemieckich oraz do miasta Kolonii, w której działało tak wielu wybitnych i zasłużonych kapłanów i świeckich działaczy katolickich i gdzie powstało wiele dzieł katolickich, oraz po wyrażeniu radości z odbudowania wspaniałego tumu kolońskiego — Ojciec Święty przeszedł do zagadnień aktualnych, ujmując je w trzy zasadnicze punkty:

Kościół pewnym oparciem dla wszystkich. „Światopoglądowe burze, które rozpętały się w ostatnich stuleciach, poczyniły wielkie spustoszenia w kołach stojących poza kręgiem katolickich wpływów religijnych. Uderzały one też w skałę, na której Chrystus Pan zbudował swój Kościół i usiłowały go zniszczyć od wewnątrz." Kościół musiał bronić się i nie pozwolił na naruszenie powierzonego mu skarbca prawdy. „Ruszał też niejednokrotnie do kontrofensywy i w tych religijnie oziębłych i pustych czasach rozlewał na swych wiernych łaski eucharystyczne w takiej pełni, jak nigdy przedtem w swojej historii."

„Te otwarte wyznanie jesteśmy winni Panu Kościoła, którego wola i moc prowadzą go bezpiecznie przez wszystkie burze..." „Jesteśmy je winni również tym, którzy — może nieświadomie — stoją blisko jego bram, jak też i coraz liczniejszym takim, których obawy przed rozkiełznanymi siłami natury, przed teraźniejszością i przed przyszłością skłaniają do szukania mocnego oparcia. Kościół daje im je, bo on sam jest tym mocnym oparciem. Kto się jemu powierzy — nie traci nic z tego, co prawdziwego posiadał. To wszystko bowiem, co z prawdy i dobra znajduje się w innych wyznaniach, również i niechrześcijańskich, istnieje i ma swój głęboki sens i swe wypełnienie w Kościele katolickim.

Kościół daje to oparcie nie wciskając człowieka w jakiś system totalitarny, ale przeciwnie: okazując poszanowanie dla jego duchem i wolnością obdarzonej natury, dla jego godności i nadprzyrodzonego powołania jego soby. Również dla wolności ludzkiej wiedzy i badania Kościół uznaje tylko jedną granicę, a jest nią ta, którą położył sam Bóg przez swe Objawienie i przez swe jasne słowa."

Społeczna nauka Kościoła wciąż obowiązuje. „Kościół, który sam o sobie powiada, iż jest 'znakiem wzniesionym ponad narodami' („Signum levatum in nationes" — Iz. 11, 12) — zdanie to było hasłem zjazdu, do którego Ojciec św. skierował swe orędzie. — Red.), pytają dziś o jego wkład do osiągnięć ładu społecznego.

Bez chełpliwości może Kościół wskazać na to, iż w ciągu swych dziejów dokonał dzieł olbrzymich dla budowy i dobra życia społecznego. Badania historyczne już dawno to potwierdziły. Nie miał też Kościół oczu zamkniętych na głęboko sięgający nieład społeczny, który przyniósł ze sobą wiek techniki i kapitalizmu. Nie twierdził też nigdy, że on jedyny mógłby rozwiązać zagadnienia społeczne, wolno mu jednak z podniesioną głową wskazywać na te wartości, które dla ich rozwiązania zawsze stawiał do dyspozycji i nadal posiada. Taką wartością jest nauka społeczna Kościoła, która się wspiera na prawie natury i na prawie Chrystusowym. Ta nauka wytrzymała próbę czasów i okazała się płodną..." „W swej nauce społecznej Kościół nie potrzebuje się w istotnych sprawach od niczego odrzekać i obowiązuje ona wciąż."

„Kościół zawsze mocno podkreślał, że obok reformy panujących stosunków potrzeba kształtowania przekonań — wyprostowywania sumień według obowiązującego porządku oraz sił moralnych, aby zawsze działać zgodnie z sumieniem. Kościół zastrzegł to sobie i dowiódł, iż potrafi formować ludzi o takim nastawieniu myślowym."

Wolność Kościoła — zasadą uczciwego współistnienia. Ojciec Święty stwierdza dalej, iż „jest faktem, że od dziesiątków lat, a zwłaszcza w ostatnim dziesięcioleciu, Kościół jest narażony na jedno z najcięższych, a w każdym razie najbardziej niebezpiecznych prześladowań, jakie kiedykolwiek nań spadły..." „Prześladowanie Kościoła jednak jest udziałem mistycznego Ciała Chrystusa w Jego ranach, a z tego, iż doszło do poważnego starcia między nim a systemem wspierającym się na bezbożnictwie i zaprzeczeniu Boga — Kościół może być tylko dumny."

„Kościół zarazem głęboko współczuje z tymi wszystkimi, którzy dla wiary doznali i wciąż doznają straszliwych krzywd. Może on się też trwożyć o swoją przyszłość na olbrzymich przestrzeniach objętych prześladowaniem, gdyż przeciwnik ma obecnie do swej dyspozycji środki przymusu, stosowane przez totalitarne państwo, i wymyślne metody duchowego urabiania ludzi, a zwłaszcza młodego pokolenia i dzieci, jakich nie miał nigdy w przeszłości żaden z prześladowców.

Toteż Kościół upomina swych wiernych w krajach, gdzie się cieszą wolnością, aby sobie zdawali sprawę z niebezpieczeństwa grożącego ze strony tego wroga i **ponownie ich ostrzega przed złudą fałszywego współistnienia (koegzystencji), w tym znaczeniu, jakoby między Wiarą katolicką, między światopoglądem katolickim i tym systemem mogło dojść do wyrównania różnic, do wewnętrznego wzajemnego dostosowania się."**

„Istnieje pewna „koegzystencja w prawdzie" — przypomina Pius XII. — „Mówiliśmy o niej przy poprzedniej okazji, a obecnie dodajemy: **Kościół katolicki nikogo nie zmusza, aby się do niego przyłączał, żąda jedynie dla siebie wolności, aby w danym kraju mógł żyć zgodnie ze swoją konstytucją i swymi prawami, dbać o swych wiernych i otwarcie głosić posłannictwo Chrystusa. To jest bezwarunkowa podstawa wszelkiej uczciwej koegzystencji.**

A tymczasem Kościół walczy dalej, nie na polu polityki lub gospodarczym — jak się mu to stale a niesłusznie zarzuca — lecz swoją własną bronią: stałością wiernych, modlitwą, prawdą i miłością. I ofiarowuje swe cierpienia za zbawienie prześladowców, za te kraje i ludy, w których jest prześladowany."

»OSSERVATORE ROMANO«

Poniedziałek - wtorek 10-11 września: przemówienie Papieża (w języku francuskim) do uczestników I Kongresu Międzynarodowego Zrzeszenia Nauk Ekonomicznych.

Środa 12 września: radiowe przemówienie Papieża (w języku francuskim) do VII Międzynarodowego Kongresu Lekarzy Katolickich: o punkcie wyjścia i źródle prawa lekarskiego, o stanowisku lekarza wobec prawa i moralności, o współpracy na polu międzynarodowym; przemówienie w streszczeniu arcybiskupa Mediolanu Montiniego na III narodowym kongresie włoskich pisarzy katolickich.

Czwartek 13 września: przemówienie Papieża (w języku francuskim) do uczestników II międzynarodowego kongresu dietetyki.

Piątek 14 września: o zorganizowanym przez „Przegląd Historii Kościoła w Italii" zebraniu współpracowników i korespondentów pisma, z okazji 10-lecia.

Sobota 15 września: przemówienie Papieża do uczestników VI Narodowego Tygodnia Dostosowania Duszpasterskiego: o charakterze nauczania przez Chrystusa Pana, misji Kościoła w głoszeniu Słowa Bożego i wykonaniu jej w ciągu wieków i w czasach dzisiejszych.



Dnia 13 września br. zmarł w Londynie ks. arcybiskup Edward Myers, sufragan i koadiutor diecezji westminsterskiej. Arcybiskup Myers liczył w chwili zgonu lat 81. Po śmierci kardynała Gryffina na arcybiskupa Myersa przechodziła władza zarządzania diecezją westminsterską. Był on jednak w bardzo złym stanie zdrowia, a po krótkim czasie zmarł. Jest więc stołeczna diecezja angielska osierocona podwójnie, przez zgon jej Ordynariusza, oraz Biskupa Koadiutora.

SPRAWY NIEMIECKIE

ŚWIĘTO NIEMIECKICH UCHODŹCÓW

Związki regionalne uchodźców niemieckich (Landsmannschaften) urządzają corocznie w lecie wielkie zjazdy manifestacyjne o charakterze wspominkowym i propagandowym. Przy każdej okazji tych zjazdów przypomina się dziesiątkom tysięcy uchodźców ich utracony kraj ojczysty i ponawia się żądanie zwrotu „bezprawnie" zabranych ziem wschodnich za Odrą i Nysą. Na zakończenie odbywa się następnie we wrześniu wspólny „Dzień Kraju Ojczystego" (Tag der Heimat). Kulminacyjne uroczystości „Dnia" organizowane są zazwyczaj w Berlinie, przy udziale dziesiątków tysięcy ludności z Berlina i zach. Niemiec oraz przy licznym współudziale uciekinierów, mieszkających we wschodnich Niemczech.

Zeszłoroczny „Tag der Heimat" został przyćmiony faktem rozmów, jakie w tym właśnie czasie przeprowadzał kanclerz Adenauer w Moskwie. Z rozmowami tymi łączyli uchodźcy niemieccy pewne nadzieje, łudząc się, że pozytywny ich wynik przybliżyć też może spełnienie ich żądań na temat zwrotu byłych niemieckich prowincji wschodnich.

Mniej optymizmu. Tegoroczną uroczystość Dnia Kraju Ojczystego, zorganizowaną w berlińskiej „Waldbühne", przy udziale blisko 25 tysięcy uczestników (w tym 75-80% kobiet!), zagaił prezes Związku Zrzeszeń Regionalnych (Verband der Landsmannschaften), dr Georg von Manteuffel-Szoege stwierdzeniem, że nie może podzielać optymizmu, który ożywiał uczestników zeszłorocznej manifestacji. Dziś główne zainteresowania wielkich mocarstw zwróciły się od problemu niemieckiego do innych, bardziej aktualnych problemów polityki światowej. Niemcy w swojej walce o prawa na wschodzie są obecnie bardziej odosobnione, aniżeli były kiedykolwiek na przestrzeni ostatnich lat. W związku z tym wyraził Manteuffel ubolewanie z powodu zaleconej przez McCloya rezygnacji z ziem na wschód od Odry i Nysy. Musiało ono — podkreślił — wywołać rozczarowanie w kołach niemieckich.

Polemika nad książką E. Wiskemann. Książka angielskiej publicystki, panny E. Wiskemann pt. „Germany's Eastern Neighbours" wyprowadziła natomiast z równowagi, znanego ze spokoju i umiaru, prezesa niemieckich związków uchodźczych. Krytykując to wydawnictwo, posunął się von Manteuffel do pogardliwej i niesmacznej uwagi na temat autorki tak żywo przez całą europejską prasę cytowanej książki.

„...W Londynie — mówił von Manteuffel — ukazała się książka, właściwie druk niejakiej Frau Lieschen Wiskemann, będąca fałszerstwem historii na miarę nieprawdopodobną. Książka ta usuwa w cień — jeśli chodzi o jej zawartość prawdy — nawet opisy Münchhausena." (Müunchhausen publikował w drugiej połowie XVIII stulecia opisy swoich wymyślonych podróży i przygód myśliwskich i wojennych, które były od A do Z jedynie fantazją — dop. red.)

Że książka panny Wiskemann nie wywołała zachwytu wśród Niemców, to jest rzeczą zrozumiałą. Ubolewać jednak należy, że ten poważny i raczej życzliwie nastawiony do Polski człowiek — co zresztą wynikało z innych jego na tej manifestacji wywodów — uległ w tej mierze popędliwości nacjonalistycznej. Jakże odbijało od tego wyskoku wystąpienie prezydenta berlińskiego sejmu krajowego, Willy Brandta, który, chociaż także w swoim przemówieniu nie tail zawodu z powodu ukazania się tej książki, jednak uznał konieczność poważnego rozprawienia się z argumentami panny Wiskemann, dodając:

„...Polemika nasza będzie jednak wówczas dopiero skuteczna, jeśli i u nas nie będą się ukazywać książki, które gloryfikują miniony, tak mało godny pochwał odcinek naszej historii, z którym wszak nie chcemy mieć nic wspólnego."

Za fasadą oburzenia z powodu publikacji p. Wiskemann kryje się raczej świadomość Niemców, jak są bezradni wobec stabilizującej się coraz bardziej rzeczywistości. „Czas jest najgroźniejszym naszym przeciwnikiem w walce o rewindykacje terytorialne" — podkreślał von Manteuffel w innym miejscu swego przemówienia, a Brandt nawoływał do zaznajamiania dzieci w zachodnich Niemczech z historią i niemiecką przeszłością ziem wschodnich, „by młodzież nasza wiedziała o ziemiach tych przynajmniej tyle, co o naszych sąsiadach zagranicznych".

Umiarkowany charakter wystąpień. Poza wyskokiem von Manteuffla miała manifestacja berlińska charakter raczej umiarkowany. Bezpośrednio pod adresem Polski nie padło ani jedno słowo obraźliwe lub agresywne. Przeciwnie, Manteuffel sławił niewygasły pęd Polaków do wolności, przytaczając ostatnie wypadki poznańskie jako nowy przykład bohaterstwa i idealizmu polskiego. Apelował do Niemców i Polaków, by zapomnieli o tym, co ich dzieli, a pamiętali jedynie o tym, co ich łączy, kładąc przy tym dość dwuznaczny nacisk na przypomnienie, że zadania Polski leżały zawsze na wchodzie Europy i dając do zrozumienia, że i w przyszłości w tamtym kierunku kierować się winna ekspansja Polski.

Nieco paradoksalnie brzmiał apel jego do ziomków niemieckich, by z postawy narodu polskiego w XIX stuleciu i z nieugiętej jego woli do odzyskania niepodległości czerpali przykład, jak należy walczyć o naprawienie doznanej krzywdy, nawet i w najbardziej pozornie beznadziejnej sytuacji międzynarodowej. Wytrwałość wielu pokoleń polskich sprawiła — mówił von Manteuffel — że bezprawie, wyrządzone Polsce w czasie rozbiorów, zostało naprawione. I my musimy trwać niezłomnie w wysiłkach naszych, by krzywda wyrządzona narodowi niemieckiemu została naprawiona.

Dyskusje przed mikrofonem. Z okazji uroczystości uchodźczych w Berlinie berlińska radiostacja (Sender Freies Berlin) miała wywiad z czołowymi przedstawicielami poszczególnych związków regionalnych niemieckich uchodźców. Dyskusja przed mikrofonem koncentrowała się przede wszystkim dookoła coraz bardziej aktualnego w Niemczech pytania, czy wśród uchodźców niemieckich, a szczególnie wśród młodzieży, istnieje wola powrotu do „utraconego kraju ojczystego". Osławiony Jacksch, przedstawiciel Niemców sudeckich, który na znak protestu przeciwko rzekomej ustępliwości zarządu partii, opuścił w lipcu bież. roku kongres socjaldemokratów w Monachium, dowodził wprawdzie, że wola ta jest nadal powszechna bez względu na pozycję i stanowisko, zdobyte przez tych uchodźców w międzyczasie w zachodnich Niemczech. Inni rozmówcy byli pod tym względem znacznie ostrożniejsi i bardziej wstrzemięźliwi. Znany czytelnikom polskim b. prezes niemieckiego Volksbundu na Śląsku, Ulitz, uzależniał powrót od przywrócenia „krajowi ojczystemu" prawdziwej wolności i od zapewnienia mniejszościom pełnej swobody w każdej dziedzinie życia publicznego i prywatnego. Zaś przedstawiciel Niemców z Siedmiogrodu nie wahał się przyznać, że uchodźcy z Siedmiogrodu nie 11 lecz już 16 lat temu opuścili swój „kraj ojczysty", że wyjazd ich nastąpił na skutek prawnie przez Hitlera zawartego układu, że majątek ich został w swoim czasie rozliczony przez rząd rumuński i niemiecki, że przeto uchodźcy ci nie mają prawa oczekiwać czegokolwiek od Rumunów i że w tej sytuacji powrót ich wydaje się dość problematyczny.

Perspektywy równają się zeru. Protesty przeciwko książce p. E. Wiskemann, mają na celu ukrycie przed masami coraz większej beznadziejności roszczeń rewizjonistycznych. Poważni Niemcy nie ukrywają w rozmowach w cztery oczy, że perspektywy rewizjonizmu niemieckiego równają się zeru. Ale brak im na razie jeszcze odwagi cywilnej, aby ten smutny dla nich bilans ujawnić publicznie. Poza tym, w przyszłym roku odbywają się wybory do parlamentu w Bonn. Żaden czynnik polityczny, pragnący z wyborów tych wyjść zwycięsko, nie chce narażać sobie ewentualnych głosów uchodźców. A właśnie okazana w tej chwili wielkoduszność mogłaby przynieść Niemcom w przyszłości niejedną korzyść i przyczynić się do prawdziwego odprężenia na wschodzie Europy.



Na terenie obozu koncentracyjnego w Dachau odbywają się coroczne żałobne uroczystości, w których biorą przede wszystkim udział ludzie, którzy przeszli przez okrucieństwa niemieckich obozów koncentracyjnych. W roku bieżącym byli obecni przedstawiciele 21 narodów. W centrum obozu umieszczona została kamienna tablica dla uczczenia ofiar i dla upamiętnienia zbrodni niemieckich w obozie koncentracyjnym w Dachau. Ilustracja przedstawia chwilę przed poświęceniem tablicy, którego dokonał ks. prałat Fryderyk Pfancelt. Niemcy stale i systematycznie starają się likwidować pozostałości po obozach koncentracyjnych i zacierać ślady bestialstwa okresu hitlerowskiego. Tendencje te dotyczą również Dachau. Wobec odradzającego się nacjonalizmu niemieckiego oczy świata, a zwłaszcza narodów, które bezpośrednio zapoznały się z miarą możliwości niemieckich w zakresie stosunku do człowieka, kierują się na katolików niemieckich, a przede wszystkim na duchowieństwo niemieckie, spodziewając się, iż Kościół w Niemczech poprowadzi swoje dzieło wychowania i powstrzyma nowe generacje tego narodu od czynów, których symbolem jest Dachau.

TEATR

PREMIERY POLSKIE

„WODEWIL WARSZAWSKI"

„Wodewil — czytamy w 'Słowniku wyrazów obcych" (Państwowy Instytut Wydawniczy 1955) — od nazwy rejonu Vau de Vire w Normandii: 1. uliczna piosenka o charakterze satyrycznym, 2. teatr, utwór sceniczny w typie komedii, farsy lub krotochwili z muzyką i piosenkami, z przewagą tekstu mówionego nad śpiewanym." „Nouveau Petit Larousse Illustré" (1949) vaudeville określa jako „małą sztukę teatralną z kupletami lub lekką komedię, z niewyszukaną intrygą, o komizmie nieco rubasznym". „Wodewil warszawski" Edwarda Chudzyńskiego byłby w zgodzie ze „Słownikiem wyrazów obcych", a zwłaszcza z Laroussem, gdyby nie to, że „Wodewil" jest tytułem sztuki, w którą autor włożył większe od wodewilowych ambicje.

Premiera nagrodzonej na zeszłorocznym konkursie ZASP-u sztuki Edwarda Chudzyńskiego odbyła się w sali ratuszowej St. Pancras w Londynie, przy dużym zainteresowaniu publiczności. Wydaje się, że publiczność nie wyszła z ratusza gminy św. Pankracego niezadowolona: ujrzała i usłyszała to, czego oczekiwała. „Wodewil warszawski" syci przede wszystkim głód wzruszeń patriotycznych, mniej natomiast estetycznych, chociaż nimi bynajmniej nie gardzi. Autor trafił celnie w nutę patriotyczną, ale i artystycznie wyszedł wcale obronną ręką. Oczywiście, mimo gęstej strzelaniny na scenie, Edward Chudzyński nie wynalazł prochu w „Wodewilu warszawskim", ale ze wszystkimi potknięciami i beztroską naiwnością jest to summa summarum znośna robota.

„Wodewil warszawski" to sześć luźnych odsłon, sześć obrazów z życia Warszawy pod okupacją — wodewilowych czy rewiowych, ale nie dramatycznych. Drobne próbki dramatycznego psychologizowania, skąpo wetknięte między dowcipy, skecze i piosenki „Wodewilu", świadczą, że autor, nieźle obeznany z pisarską techniką rewiową, zawodzi jako dramaturg. Sceny dramatyczne „Wodewilu" są nie tylko artystycznie nieporadne, ale i kompozycyjnie zbyteczne (jak np. rozmowa dra Zawadzkiego z Lolkiem Lewandowskim o konspiracji). Wykazał natomiast autor dużą zdolność w adaptowaniu znanych piosenek, kupletów oraz dowcipów okupacyjnych i akowskich. Bohaterów umieścił w „Barze pod Syreną", gdzie się najwyraźniej czuje mocno i pewnie. Wódka leje się bez przerwy przez całych sześć odsłon, a opanowanie szkła przez zespół aktorski jest zdumiewająco mistrzowskie. Wymalowany przez Jana Smosarskiego „Bar pod Syreną" dostarczył autorowi sposobności dostępu nie tylko do beczki z okowitą, ale i do bani z warszawskimi dowcipami i rozkoszną wiechowszczyzną.

A zatem: warszawska gwara, okupacyjne dowcipy i kuplety, sentymentalne i wojenne piosenki, knajpowy humorek, bohaterowie podziemia ginący do nogi, z wyjątkiem ślepego grajka, który sam pozostaje przy życiu, jak symbol, z piosenką. Dodać trzeba doskonałą scenę humorystyczną (najmocniejszą w całej sztuce) oświadczyn Józia „Złotego Rączki", parę scen miłosnych, okrzyk powstańców na cześć zdobywców Monte Cassino (z pogwałceniem kalendarzyka historycznego), aby nabrać przekonania, że „Wodewil warszawski" musiał się podobać, wcale nie dlatego, że jest szczególnie dobrym dramatem.

Aktorsko sztuka była niedoszlifowana. Dykcja słabiutka, ruchy i gesty chaotyczne. Najlepiej wypadła statyczna rola ślepego grajka, w wykonaniu Gwidona Boruckiego, świetnego też w intepretacji piosenek. Borucki, pierwszy aktor tego przedstawienia, popełnił jednak, wraz z reżyserką Reginą Kowalewską, błąd niewybaczalny. W scenie końcowej zagrał hymn „Warszawskie dzieci" bez słów!

Miło było zobaczyć na scenie szereg młodych aktorek i aktorów: najlepiej ze wszystkich mówiącą tekst Ewę Suzin, piękną scenicznie i świetną w pozach Zofię Mroczkowską, młodziutką, a już śmiałą Joannę Rewkowską, Wacława Krajewskiego, Wacława Dybowskiego, Aleksandra Butschera. Ale i starsza generacja, a zwłaszcza Janina Sempolińska, Mieczysław Malicz i Stanisław Zięciakiewicz trzymała się dzielnie. Osobne zdanie należy się Edwardowi Chudzyńskiemu, który laury aktorskie dołączył do autorskich.

Reżyseria ambitna, ale „Wodewil warszawski" to robota dla reżysera rewiowego, ze względu na pierwszoplanowość elementów muzycznych.

J. B.

GRABÓWKA I MONTMARTRE

Teatrzyk Ref-Rena jest ogromnie sympatyczny, a do dlatego — aby nie owijać oczywistej rzeczy w bawełnę — że wywodzi się wprost z podwórka, z budy wędrownej i ze sceniki żołnierskiej. Kiedy Ref-Ren wystawia Antoniego Kociubińskiego, dialogi pijackie Malicza i Zięciakiewicza lub ochotniczkę Helenkę, trafia najcelniej w swój styl i rodzaj. Bezpretensjonalność, sancta simplicitas, karykatura, damskie suknie na męskich korpusach, sztuczne nosy, podarte spodnie, kobiety śpiewające basem, groteska taneczna, a nawet gębobicie, to nieodzowne elementy wędrownych teatrzyków, które były wiekami odświętnym wzruszeniem mieszkańców mieścin, miasteczek i przedmieść większych miast. Za konserwowanie tej tradycji należy się zespołowi Ref-Rena serdeczna wdzięczność. Bo małomiasteczkowy teatr objazdowy, to wcale nie taka prosta sztuka!

Teatr Ref-Rena na emigracji przenosi duszę utęsknioną do Ropczyc, na Grabówkę w Tarnowie, do Mielca, na stadion zakopiański. Tam przeżywał niezapomniane wzruszenia artystyczne i tam zaczynał kochać sztukę prosty człowiek. Tam cisnęła się ukradkiem młodzież szkolna zapalając serca do pieśniarek i aktoreczek. W oficjalnych dziejach teatru mówi się tylko o szczytach. Ale kultura sceniczna narodu, to przede wszystkim ludowa galeria objazdowych teatrzyków.

Ostatnia rewia Ref-Rena pt. „Vice-versa" była dowodem, że natury gwałcić nie można. Krupa jagłą być nie może. Piękne i wzruszające jest u Ref-Rena wszystko, co się wywodzi z teatrzyku objazdowego, sztuczne i złe wszystko, co ma być kabaretem wielkoświatowym. Kolek ze śmiechu dostaje słuchacz, gdy Oleńska śpiewa głosem Zięciakiewicza, a Terne Lawińskiego, skonać można na widok Malicza w spódnicy i Ref-Rena z końskim ogonem na głowie, na palcach gwizdać chce się z radości, gdy Malicz z Zięciakiewiczem prowadzą rozmowy o dużych i małych i co światło zgaśnie, to albo Malicz podrośnie, albo Zięciakiewicz zmaleje, pękać można, gdy Lawiński wygłasza pogadankę o śmiechu a Oleńska ją ilustruje, gdy dwóch Polusów dobija się do budki telefonicznej, gdy Oleńska w roli „hostessy" klnie na stronie po nadwiślańsku, oczy wyłażą na wierzch na widok Poli Gobińskiej tańczącej „charlestona". Naprawdę, dobra, beztroska zabawa! Człowiek się śmieje trochę do aktorów, a trochę do własnych wspomnień. Można by śmiało wstawić do programu jeszcze trochę sztuczek magicznych, parę gonitw z upadkami, bójek itp. (Nie gardzi nimi zresztą ani rewia angielska ani film amerykański.)

Cóż, kiedy Ref-Ren znalazł się a cheval teatrzyku ludowego i paryskiego kabaretu. I te paryskie, a także nowojorskie i londyńskie echa wnoszą do budy starego Konarskiego kakofonię. Do licha tam z Toulouse Lautrekiem, z „pianiste de Varsovie", z modnymi przebojami! Owszem, Fabian jest uzdolnionym aktorem mimicznym, a Zofia Terne wszystko nuci z wdziękiem. Trzeba dodać, że bardzo inteligentną piosenkę o literze R (a raczej o dźwięku r) zaśpiewała ślicznie i milutko Wanda Żarnowska. Ale w sumie szkoda czasu i atłasu na liche imitacje światowych filmów i piosenek. Czy nie lepiej np. Polę Gobińską puścić w parodii krakowiaka, polki, trojaka, czy czegoś podobnego, a nie w jakimś płaskim „Marzeniu"?

Panie Feliksie, na ojczyzny łono, a nie na Montmartre, do Soho i Hollywoodu!

J. B.

P.s. A co z Ruszałą?

FESTIWALE

10-y FESTIWAL EDYNBURSKI

Półmilionowa stolica niezbyt ciepłej Szkocji nie miała ani swego Mozarta ani Wagnera, a jednak dziś festiwale edynburskie wymienia się tuż po festiwalach w Bayreuth i w Salzburgu. Powodzenie stosunkowo młodej, bo liczącej 10 lat imprezy, rośnie z roku na rok, a urządzająca je instytucja pod nazwą Edinburgh Festival Society Ltd. nie skarży się na deficyt. Miernikiem tego rosnącego powodzenia są coraz liczniejsze tysiące gości napływające z kontynentu, z innych części świata i nade wszystko — z rozlicznych zakątków Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. W tym roku stanowili oni jedną dziesiątą przybyłych prawie 300 tysięcy, które się przewinęły w ciągu trzech tygodni na festiwalu.

Śmiała inicjatywa. Inicjatorem festiwalów był w biednych powojennych latach prezydent Edynburga, znany prawnik, sir John Ireland Falconer, wielki miłośnik sztuki, ale i niezły znawca ludzi, skoro ważył się na urządzanie wielkich międzynarodowych zjazdów w mieście położonym zupełnie na uboczu od głównych szlaków wielu ludzkich interesów. Zrobił to zresztą zupełnie celowo, gdyż spodziewał się, iż „może właśnie Edynburg stanie się miejscem, gdzie schroni się kultura europejska, gdzie ludzie będą mogli nie tylko coś zobaczyć i usłyszeć, ale gdzie przede wszystkim znajdą ciszę, która pozwoli im uchwycić echa wszelkich przejawów życia duchowego oraz intelektualnych inpiracji".

Jak bywa z tymi aspiracjami — trudno to stwierdzić, ale zobaczyć i usłyszeć można corocznie w Edynburgu w tych trzech tygodniach, od połowy sierpnia do końca pierwszego tygodnia września, naprawdę niemało.

W tym roku wielbiciele muzyki, teatru, baletu i filmu mogli podziwiać występy państwowej opery z Hamburga, orkiestr symfonicznych — z Bostonu i z Londynu, baletu Sadler's Wells i hinduskiego ze słynnym

Ram-Gopalem na czele, kanadyjskiego teatru prowadzonego przez Stratford Ontario Festival Company, Piccolo Teatro z Mediolanu, słynnego kwartetu smyczkowego z Londynu, oglądać wystawę obrazów kubisty francuskiego G. Braque'a, oraz szereg innych imprez o mniejszej i większej wadze, ale zawsze interesujących i zmuszających do myślenia.

Otwarcie festiwalu odbyło się w obecności bawiącej w Szkocji na letnich wakacjach królowej Elżbiety II, jej męża i siostry, a uświetniła je „Dziewiąta symfonia" Beethovena w wykonaniu londyńskiej orkiestry symfonicznej, którą dyrygował sir Thomas Beecham. Była też królowa na mozartowskim „Flecie zaczarowanym", wystawionym przez hamburską operę w reżyserii G. Rennerta i wyraziła swe uznanie dla wykonania i wykonawców.

Echa, zarówno krajowe jak i zagraniczne, świeżo zakończonego festiwalu, są na ogół bardzo przychylne i podnoszą wysoki poziom wszystkich wykonanych tam imprez artystycznych. Najwięcej laurów zebrał tancerz hinduski Ram-Gopal i jego zespół. Najwięcej zdań krytycznych dotyczy naśladującej rodzimy Stratford on Avon kanadyjskiej grupy teatralnej Stratford Ontario Festival Company, której przyznaje się, że posiada dobrych wykonawców ról szekspirowskich, ale w całości nie wyszła daleko poza poziom szkolnych plakatów.

Wystawa polskiego plakatu filmowego. W czasie trwania festiwalu edynburskiego przedstawicielstwo reżymowe w Wielkiej Brytanii zorganizowało wystawę polskiego plakatu filmowego. Na wystawie pokazano ponad 120 plakatów filmowych.

F I L M

WSPÓŁPRACA SOWIECKO-NIEMIECKA

Pierwszym krokiem na drodze tzw. „wymiany kulturalnej" między Sowietami i Niemcami zachodnimi jest podjęta już wymiana filmów. Sześć filmów niemieckich idzie na objazd Związku Sowieckiego, a pięć filmów sowieckich do Niemiec.

Postanowiono dobierać obustronnie — przynajmniej na początek — takie filmy, które zawierają możliwie mało problematyki. Sowiety, jak donosi prasa niemiecka, oświadczyły, że nie mają zamiaru posyłać do Niemiec filmów, obrazujących np. konflikty klasowe w ujęciu marksistowsko - leninowskim, gdyż zdaniem ich „filmów takich nie zrozumiano by w ogóle w Republice Związkowej". Na razie Sowietom chodzi o pokazanie, że „także i one potrafią robić filmy".

Istotnie, wyświetlany już w Niemczech pierwszy z tej serii film rosyjski pt. „W państwie białego niedźwiedzia", ma charakter czysto przyrodniczy i pozbawiony wszelkich momentów propagandowych. Ale — pyta hamburska „Die Welt" — co będzie, gdy „zaczną do nas przychodzić filmy, których na razie jeszcze rzekomo nie możemy rozumieć?"

„Zmierzch w południe". Wśród filmów nagrodzonych przez dziewięcioosobowe jury, jedną z czterech głównych nagród otrzymał film japoński pt. „Zmierzch w południe", którego tematem są metody wymuszania, stosowane wobec więźniów w śledztwie. Wątpić należy, czy wyróżnienie tego filmu przypadło do smaku „bezpiekom" w krajach „demokracji ludowych".

L I T E R A T U R A

KSIĄŻKI NIE LUBIĄ HAŁASU

Księgarnia Foyle'a, mająca siedzibę na Charing Cross Road w Londynie, czyli — jak mówiono jeszcze niespełna tysiąc lat temu — Croix de la Chère Reine, a po polsku przy gościńcu Grobu Ukochanej Królowej (opodal pochowano ponoć żonę Wilhelma Zdobywcy) — księgarnia Wilhelma Foyle'a znana jest nie tylko mieszkańcom Londynu. Sława jej rozciąga się szeroko poza wybrzeża brytyjskiej wyspy obejmując cały posługujący się językiem angielskim Commonwealth, w coraz większej mierze Stany Zjednoczone, a nawet kraje kontynentu europejskiego.

W szacownym handlu dziełami pióra i sztuki drukarskiej — zarówno nowościami wydawniczymi, jak rzadkimi egzemplarzami bibliofilskimi — zaczęła przed dwudziestu laty pomagać księgarzowi jego córka Krystyna. Stopniowo, w miarę jak „stary Foyle" stawał się jeszcze starszym, przejęła ona odpowiedzialność i faktyczne kierownictwo księgarni.

Intelekt za stołem. Jednym z pierwszych pomysłów Krystyny było przekształcenie „seansów lektury", które zapoczątkował jej ojciec, w „śniadania literackie" z udziałem najbardziej interesujących autorów świeżo wydanych książek. Spotkania te — podobnie jak zainicjowane w kilka lat później „kluby książki" Foyle'a — zyskały sobie ogromną renomę przyciągając co roku znaczną część brytyjskiej elity intelektualnej. Pierwsze takie śniadanie odbyło się w roku 1930, a gościem honorowym był lord Darling. W roku bieżącym w tym samym charakterze wystąpił sir John Glubb, pożegnany niedawno przez króla Jordanii komendant Legii Arabskiej, który zdążył już „popełnić" autobiografię.

Krótkie spięcie intelektów nastąpiło jednak przy innej okazji. Krystyna Foyle miała ostatnio zabawne nieporozumienie, w którym stroną przeciwną było aż 51 intelektualistów. Utarł się mianowicie zwyczaj, że księgarnia zatrudnia w okresie ferii uniwersyteckich pewną ilość studentów przy różnych pracach dorywczych, jak wysyłka książek, pakowanie itp.

Jak tam było z pracą — kroniki milczą. Wiadomo natomiast, że toczono niekończące się dysputy literackie, naukowe, a zapewne i na inne tematy. Złośliwy los zrządził, że pomieszczenia, w których z takim zapałem rozprawiali studenci, sąsiadowały bezpośrednio z gabinetem „szefowej". Na dobitkę właśnie zajęta ona była trudną selekcją tomów do kolejnej serii Klubu Książki.

Rezultat tego fatalnego zbiegu okoliczności nie dał na się zbyt długo czekać: zniecierpliwiona Miss Krystyna wymówiła pracę czterdziesciorgu studentom; jedenastu pozostałych zrezygnowało na znak solidarności z kolegami.

Zaczęły się głośne żale (poniektóre nawet w formie wywiadzików prasowych) młodych ludzi, którzy liczyli na zatrudnienie co najmniej kilkotygodniowe i dostosowali do tego swe plany wakacyjne. Miss Foyle (stale tak nazywana, choć zamężna od lat kilkunastu) wyjaśnia ze swej strony, że firma jej zawsze chętnie zatrudnia studentów. Tym razem jednak gwar akademickich dyskusji uniemożliwiał zupełnie jej własną poważną pracę.

Rzecz prosta — jak w znakomitej większości ludzkich konfliktów — obydwie strony mają rację.

DYSKUSJE

ZESPOŁOWI „MERKURIUSZA"

Napisał Z. E. Wałaszewski

„W życiu każdego człowieka powinno być miejsce i na uczucie i na myśl. Praca myśli nie wyklucza uczucia. Przeciwnie — intensywność jej właśnie od uczucia pochodzi" — oto wprowadzenie do artykułu wstępnego pt. „Refleksje — w rocznicę Cudu nad Wisłą", podpisanego przez Zespół Redakcyjny „Merkuriusza" („Merkuriusz Polski", nr 8/9, 76/77 na sierpień i wrzesień br.).

Podczas gdy każdy myślący człowiek zgodzi się na pierwsze z trzech lapidarnych sformułowań, nad drugim już lekko wzniesie brew, aby, co do prawdziwości trzeciego, mieć poważne zastrzeżenia. Myślało się dotychczas, że praca myśli, którą członkowie Zespołu Redakcyjnego zapewne rozumieją jako poszukiwanie prawdy, jest zawsze wybitnie zagrożona w miarę jak i ilekroć uczucie wpływa na myśl. Jest to truizm, zbyt nam znany z codziennego doświadczenia, by wymagał dowodu. Proces myśli, której intensywność tryska z uczucia, jest w najlepszym razie „prawdą" subiektywną, a w najgorszym — nieobliczalnym widzimisię.

O prawo rewaluacji przeszłości. Po takim wstępie artykuł „Merkuriusza" dopomina się dla każdego pokolenia o „prawo i obowiązek rewaluacji przeszłości narodowej wtedy, gdy jej więzy krępują jego spojrzenie na teraźniejszość", i stwierdza, że: „Historia nie może być tylko i przede wszystkim — polem do ciągłej manifestacji uczuć". I cóż my więc na to, biedni zjadacze chleba, dla których historia była dotychczas poszukiwaniem obiektywnych danych i wysupływaniem wniosków z łańcucha przyczyn i skutków?

Na temat Cudu nad Wisłą. Ale wszystkie te rozważania wstępne, to kamuflaż, bo chodzi przecie o Cud nad Wisłą. Otóż ten Cud nad Wisłą, to dla Zespołu Redakcyjnego „Merkuriusza" żaden cud, i ktokolwiek by myślał inaczej o sierpniowym zwycięstwie nad Wisłą w roku 1920 „wyrządza krzywdę temu społeczeństwu, a przede wszystkim żołnierzowi, który to zwycięstwo krwawo okupił. Cud nad Wisłą był cudem woli i wysiłku społeczeństwa i żołnierza polskiego". Oto do jakiego wniosku doprowadziło redagującego ten artykuł — uczucie wzmacniające pracę myśli!

Jak świat światem, ludzie różnych wierzeń prosili swe bóstwa o pomoc w przedsięwzięciach i im za nie dziękowali. Znane jest powiedzenie rzymskie: „Dii armis Romanorum victoriam dederunt", bogowie z pomocą oręża rzymskiego odnieśli takie a takie zwycięstwo, i co więcej, żołnierze i wodzowie legionów rzymskich uważali to sobie za zaszczyt. Dla nas katolików fakt, że Bóg interesuje się sprawami naszymi, jest rzeczą ponad wszelką wątpliwość oczywistą. Ktokolwiek w to wątpi, znajduje się przeraźliwie blisko stanowiska agnostycznego, które wprawdzie uznaje fakt istnienia Boga, ale Boga — nieskończenie egoistycznego, nie zainteresowanego zupełnie światem, który stworzył.

Nie zamykajmy oczu na rzeczywistość. Dla dziesiątek generacji Polaków pomoc Opatrzności Bożej za wstawiennictwem Najświętszej Maryi Panny, którą aktem państwowym właśnie 300 lat temu wybraliśmy sobie na Królowę Polski, nie podlegała od wieków wątpliwości począwszy od Obrony Częstochowy, poprzez Wiktorię Wiedeńską, poprzez nieskończenie ciężki okres rozbiorów, po Cud nad Wisłą i dzień dzisiejszy. Kto w to wątpi, ten zamyka oczy na rzeczywistość, a przede wszystkim na fakt, że ta wiara była i jest jednym z najsilniejszych filarów podtrzymujących naszą świadomość narodową. Ta sama wreszcie wiara w Opatrzność Bożą i w wstawiennictwo Królowej Polski utrzymuje nasz naród, cierpiący obecnie pod jarzmem komunizmu, w pewności, iż przyjdzie dla nas wyzwolenie, czego chociażby dowodem pielgrzymka milionowej rzeszy wiernych na Jasną Górę w dniach 25/26 sierpnia br. Wobec tej żywiołowej wiary w Kraju, tu na emigracji, w bezpieczeństwie i względnym dobrobycie — aura przedawnionego racjonalizmu i wątpliwej postępowości wśród młodzieży akademickiej, jest zjawiskiem zbyt rzadkim, aby miała ona uchodzić za pogląd młodzieży zrzeszonej w ZSAPU. Będąc członkiem tej organizacji w ten sposób zgłaszam swój jak najgłośniejszy protest.

Ale cały zarzut polega na nieporozumieniu. Niestety, nie dostrzegam wielkiej pracy myśli w twierdzeniu, jakoby pomoc nadprzyrodzona mogła być komukolwiek poczytywana za ujmę czy też krzywdę. Przeciwnie, dodaje ona tylko blasku, tak Piłsudskiemu i żołnierzom, którzy na nią zasłużyli, jak i społeczeństwu, które o to zwycięstwo tak gorąco i usilnie Boga prosiło. Cud nie zawsze jest tylko aktem nagłej interwencji Boga wbrew naturze. W wielu wypadkach ingerencja nadprzyrodzona idzie poprzez ludzi, jak wierzymy, szła ona poprzez Piłsudskiego i jego żołnierzy, którzy ten Cud nad Wisłą krwią swoją okupili. Śp. Stanisław Stroński, jeden z najszlachetniejszych Polaków doby najnowszej, Cudu nad Wisłą nie „ukuł w celu pomniejszenia roli Józefa Piłsudskiego", ale wyrażał opinię ogółu społeczeństwa, które to zwycięstwo z pomocą Najświętszej Maryi Panny, Królowej Polski w dniu Jej Wniebowzięcia, 15 sierpnia, w tak opłakanych i niemal rozpaczliwych warunkach, osiągnęło. Obawiam się, że „ten powszechnie znany fakt" zaczerpnięty został z „Historii" Polski Stanisława Mackiewicza, str. 131. Rzeczywiście, warcholstwo S. Mackiewicza jest dostateczną gwarancją prawdy historycznej!

Czas opublikować założenia ideologiczne. Ze zdziwieniem czytam również w tym samym numerze „Merkuriusza", że redakcja ma zamiar dać nam cykl „Żywotów księży warchołów", a pierwszy taki żywot pt. „Księdza Dębołęckiego żywot niezwyczajny" napisał p. Mieczysław Paszkiewicz. Pomijając to, czy nie ma godniejszych tematów, aby zapełnić trzy strony „Merkuriusza" nad życiorysy warchołów, których nam nigdy — niestety — nie brakowało, dziwi mnie specjalne wyróżnienie jakiego mają dostąpić księża - warcholi. Najpierw Cud nad Wisłą, a teraz warcholstwo księży; coś za dużo, aby to nazwać przypadkiem. „Merkuriusz" już niejednokrotnie wysuwał twierdzenia, by powiedzieć oględnie — nieco niecodzienne (vide nr. na styczeń i luty 1956), więc czas, aby Zespół „Merkuriusza" opublikował swe założenia ideologiczne. Stąd też podpisuję się oburącz pod żądaniem p. B. Czaykowskiego, podającego na XI walny zjazd ZSAPU sugestie tej treści: „Walny zjazd powinien również dokładnie określić stosunek prawny i finansowy Zrzeszenia do pisma młodzieży „Merkuriusza" — tak by pismo to mogło jak najswobodniej dalej się rozwijać". Od siebie dodam, że czas też na określenie stosunku ideologiczno-programowego, któremu „Merkuriusz", o ile chce być „pismem młodzieży", musi odpowiadać. Jest to warunek sine qua pecunia deerit — co się luźnie na język dzisiejszy wykłada, warunek, bez którego zabraknie pomocy finansowej Zrzeszenia Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźstwie.

Zdzisław E. Wałaszewski

RAPTULARZ WYDARZEŃ

19. 9. — W Londynie rozpoczęła się druga konferencja w sprawie Suezu. Dulles przedstawił projekt utworzenia Stow. Użytkowników Kanału.

— Bułganin zaproponował konferencję Egiptu, Indii, Francji, W. Brytanii, Stanów Zjedn. i Związku Sowieckiego w sprawie Suezu.

— Do Jugosławii przybył niespodziewanie Chruszczow; prasa zachodnia nie została dopuszczona na lotnisko.

— Prasa zachodnia podała, że Episkopat Polski domaga się zwolnienia Kardynała Wyszyńskiego.

20. 9. — Zarząd główny Stow. Dziennikarzy Polskich w Warszawie oświadczył, że stosunek władz partyjnych i rządowych do prasy nie zmienił się wcale na lepsze.

22. 9. — Na 1. 10. br. zostało zwołane do Londynu zebranie 18 państw, celem utworzenia Stow. Użytkowników Kanału.

— Nasser i prezydent Syrii przybyli do Arabii Saudyjskiej celem odbycia narad w sprawie Suezu.

— W Polsce ogłoszono, że procesy poznańskie rozpoczną się 26. 9. Ilość oskarżonych zmniejszono z 323 na 154, starając się przedstawić ich jako pospolitych przestępców.

23. 9. — W. Brytania i Francja skierowały do Rady Bezpieczeństwa skargę przeciwko sytuacji wytworzonej w Kanale Sueskim „na skutek jednostronnej akcji rządu egipskiego".

— Nehru w mowie w N. Delhi wyraził się krytycznie o metodach postępowania Nassera.

24. 9. — Egipt oskarżył W. Brytanię i Francję przed Radą Bezpieczeństwa N. Z. o „zagrażanie pokojowi".

— Zakończono narady w Arabii Saudyjskiej. Komunikat oficjalny zalecił negocjacje zainteresowanych państw z Egiptem jako właścicielem kanału. Nieoficjalnie — ostrzeżono Egipt, że narazi on inne państwa arabskie na straty w razie zmniejszenia się eksportu ropy. Nasser opuścił Arabię tuż przed przybyciem Nehru.

— Adenauer podpisał w Brukseli układ, regulujący spory graniczne pomiędzy zachodnimi Niemcami a Belgią.

— W Warszawie ogłoszono, że wybory do Sejmu odbędą się 16. 12. br. Nowa ordynacja wyborcza nie została dotąd uchwalona.

25. 9. — Eden i Selvyn Lloyd przybyli do Paryża celem naradzenia się z rządem francuskim w sprawie Suezu.

— Na Bornholmie wylądował na samolocie MIG-15 ppor. Zygmunt Gościlak z Poznania i poprosił władze duńskie o azyl polityczny.



SZTUCZNY SATELITA W DRODZE

Napisał Tadeusz Felsztyn

To już nie marzenie, ani fantazja naukowa, jak to było za czasów Juliusza Vernego. Nad projektem sztucznego satelity pracują nie poeci, czy fantaści, ale inżynierowie, a prace ich są już posunięte tak daleko, że wystrzelenie pierwszego satelity zostało zapowiedziane przez oficjalne sfery amerykańskie na rok przyszły, w ramach prac międzynarodowego roku geo-fizycznego. Co więcej, coraz obficiej publikowane szczegóły w czasopismach technicznyh i naukowyh pozwalają już wyrobić sobie dość dokładny jego obraz.

Satelita będzie wystrzelony na wybrzeżach Florydy. Otóż pierwszy satelita, wedle zapowiedzi amerykańskiego National IGY (International Geophysical Year) Committe, podanej w liście do profesora Chapmana, przewodniczącego CSAGI (Comité Spécial de l'Année Géophysique Internationale), wystrzelony zostanie w przyszłym roku (dokładna data nie została jeszcze ustalona) z bazy lotnictwa amerykańskiego w Patrick, na Cape Canaveral, na wschodnim wybrzeżu Florydy.

Będzie to rakieta trzystopniowa. Pierwsza rakieta, której silnik wywierać będzie nacisk 27.000 funtów (około 12 ton), wyrzuci sztucznego satelitę na wysokość około 40 mil w ciągu półtorej minuty. Rakieta wystrzelona będzie pionowo, lecz następnie odpowiednia zmiana kierunku wypływu gazów nada jej pochylenie 20° do pionu. Na wysokości 40 mil pierwsza rakieta, po nadaniu satelicie szybkości między 3.000 a 4.000 mil na sekundę, oderwie się i w grę wejdzie rakieta druga. Ta nada satelicie szybkość około 11.000 mil na godzinę po około 2 minutach palenia się. Gdy skończy się palić, na wysokości jakichś 130 mil, oddzieli się od satelity, który pod wpływem nadanej mu szybkości i siły ciążenia ziemi — jak swobodnie poruszający się pocisk — poleci nieco zakrzywionym torem, wchodząc na wysokości 300 mil w położenie poziome.

Tu w grę wejdzie rakieta trzecia, powiększając tę poziomą szybkość satelity do 18.000 mil na godzinę. Po wykonaniu tego zadania trzecia rakieta odczepi się również i satelita zacznie poruszać się „poziomo" ,tzn. równolegle do powierzchni ziemi, z szybkością mu nadaną, tj. 18.000 mil na godzinę.

Nie mniej niż 18.000 mil na godzinę. Lot ten jednak nie będzie całkowicie poziomy. Gdyby szybkość satelity na tej wysokości wynosiła dokładnie 17.053 mile na godzinę i gdyby poruszał się on w całkowitej próżni, orbita jego byłaby doskonałym lub też — jak o tym dalej będzie mowa — prawie doskonałym kołem, przy czym czas jednego okrążenia wynosiłby 94 minuty i 10 sekund. Gdyby jednak szybkość ta była nieco mniejsza, powiedzmy o dwa do trzech procent, zmniejszona siła odśrodkowa spowodowałaby, że satelita wszedłby po pewnym czasie w gęstszą warstwę atmosfery i — przy tej olbrzymiej szybkości — spaliłby się jak meteor. Małe więc tylko zmniejszenie szybkości uczyniłoby stały lot satelity dokoła ziemi zupełnie niemożliwym. Podobnie też niewielkie odchylenie od poziomu, powiedzmy wszystkiego o dwa stopnie, spowodowałoby, że tor satelity przestałby być kołem, a stałby się elipsą, której punkt najbliższy ziemi (przez analogię do orbity ziemi dokoła słońca nazwijmy go „punktem przysłonecznym") byłby na wysokości zaledwie 150 mil, a więc w strefie, gdzie gęstość powietrza spowodowałaby szybkie zmniejszenie się szybkości, a tym samym dalsze obniżenie lotu — w konsekwencji — spalenie się satelity.

Drobna więc stosunkowo niedokładność w szybkości, czy też w kierunku lotu satelity wystarczy, aby jego lot uczynić niestałym. A

że tego rodzaju niedokładności nie można uniknąć, zwłaszcza przy pierwszej próbie wystrzelenia satelity, postanowiono więc — aby się przeciw niedokładnościom zabezpieczyć — że planowany satelita otrzyma szybkość większą ,niż koniecznych 17.053 mil, a mianowicie — jak już wspomnieliśmy — 18.000 mil na godzinę. W idealnym wypadku przy tej szybkości, orbita satelity nie będzie kołem, lecz elipsą, której punkt przysłoneczny będzie na wysokości 300 mil, punkt odsłoneczny natomiast na wysokości 800 mil.

Lot nie będzie trwał bez końca. Na wysokości 800 mil powietrze (lub te drobniutkie pojedyncze jego drobiny, jakie tam jeszcze pozostają), jest tak rozrzedzone, że nie stawia już żadnego oporu. Na wysokości jednak 300 mil, powietrze, choć już także rozcieńczone, i to w tym stopniu, że można by je nazwać „próżnią", stawia jednak opór satelicie tak, że za każdym przejściem punktu przysłonecznego szybkość jego nieco maleje, skutkiem czego orbita jego traci kształt elipsy. Kiedy wreszcie stanie się ona kołem, a więc kiedy satelita lecieć będzie stale na wysokości 300 mil, szybkość satelity zmniejszać się będzie coraz gwałtowniej, lot jego zacznie się obniżać i ostatecznie będzie się odbywał w tak gęstych warstwach powietrza, że pocisk rozgrzeje się do białości i spali.

Trudno więc dziś powiedzieć, jak długie będzie życie satelity. Przy błędach nie przekraczających 1% w szybkości i 2° w kierunku — mógłby przeżyć w najlepszym wypadku kilka tygodni, nie więcej niż dwa miesiące. W idealnych warunkach żywot jego byłby znacznie dłuższy, mógłby się przeciągnąć do kilku lat. Ale, zwłaszcza przy pierwszej próbie, na ten idealny wypadek liczyć nie można, a może nawet — jak o tym będzie mowa dalej — nie tylko że nie można, ale i nie trzeba.

Wystrzelony satelita będzie w ruchu swym niezależny od obrotu ziemi, będzie więc lot swój wykonywał jak gdyby nad ziemią, obracającą się pod jego nogami. Tym samym będzie on przelatywał nad różnymi połaciami ziemi. Gdyby wystrzelić go w kierunku północy lub południa, mógłby on „obejrzeć" całą ziemię (przy bardzo bliskim rzeczywistości założeniu, że pełne okrążenie trwa 90 minut). Pierwszy satelita jednak — wedle zapowiedzi amerykańskich — zostanie wystrzelony pod takim kątem, że przemierzać będzie ziemię od 40° szerokości geograficznej północnej do 40° szerokości południowej, nie zahaczając prawie zupełnie o Rosję, co pozwala się domyślać, dlaczego wybrano właśnie taki, a nie inny kierunek lotu.

Widoczność satelity z ziemi będzie taka, jak gwiazdy szóstej do ósmej wielkości czy jasnego meteoru. Przy pomocy lornetki można go będzie obserwować o zmierzchu lub o świcie z Nowego Jorku, Konstantynopola, z San Francisco i Melbourne. Cała trudność polega na tym, że lecąc nisko nad ziemią, wychodzić on będzie z cienia ziemi tylko na chwilę przed tym, niż słońce wzejdzie, i tylko chwilkę po tym, gdy słońce zajdzie. Okres obserwacji będzie więc dość krótki. Żeby zaś zobaczyć go w czasie nocy, trzeba stosować... sztuczne oświetlenie. Jakkolwiek sztuczne oświetlenie małego przedmiotu na odległości 300 mil wydawać się może tylko fantazją, dr O'Keefe z amerykańskiej służby geograficznej obliczył, że bateria połączonych reflektorów amerykańskich, o mocy (dla każdego z nich) 800 milionów świec, mogłaby uczynić satelitę widocznym, pod warunkiem jednak takiego wykonania jego ścian, aby odbijały one światło możliwie najdoskonalej.

Śledzenie lotu przy pomocy radaru. O ile widoczność satelity przedstawia niemałą trudność, o tyle śledzenie jego lotu przy pomocy radaru jest rzeczą całkowicie możliwą. Jedna tylko tu zachodzi trudność: stosować przy tym należy fale ultrakrótkie, gdyż fale długości większej niż 20 metrów, nie mogą się przebić przez zjonizowane warstwy atmosfery. Nie przedstawia to jednak dziś już żadnej trudności. Fale te, po latach pracy nad radioastronomią są dziś bardzo powszechnie stosowane.

Wygląd zewnętrzny i wnętrze satelity. Skoro już wiemy, jak przedstawiać się będzie tor pierwszego sztucznego satelity, warto też dowiedzieć się jak będzie on sam wyglądał, jaka będzie jego masa i jego budowa wewnętrzna. Odpowiedź na te pytania jest trudniejsza, niż określenie jego orbity. Ogłoszone bowiem dotąd dane są dość rozbieżne i wiele jest jeszcze szczegółów nie dopowiedzianych. Tym niemniej, na podstawie posiadanego obecnie materiału można z dużą dozą prawdopodobieństwa powiedzieć, że pierwszy satelita będzie stosunkowo niewielki. Będzie to kula — lub prawie kula — o średnicy 30 cali (76 cm), a wadze 21½ funta (prawie 10 kg). Jak można wnioskować z obliczeń, dokonanych dla stacji międzyplanetarnej przez jej projektodawcę, Wernhera von Brauna, konstruktora rakiety niemieckiej V-2, a obecnie kierownika biura prac rakietowych Stanów Zjednoczonych, przez analogię zespół całkowity, tj. wszystkie trzy rakiety z satelitą i paliwem, muszą ważyć około trzech ton, a więc 300 razy więcej, niż sam tylko satelita. Już to samo wyjaśnia, dlaczego pierwszy, próbny satelita, będzie tak stosunkowo mały.

Urządzenia i przyrządy. Ponieważ głównym celem tego satelity — jak o tym dalej będzie mowa — jest pomiar różnych wielkości fizycznych na dużych wysokościach nad ziemią, więc prawie połowa jego wagi przeznaczona jest na przeróżne przyrządy miernicze. Te liczne przyrządy mają być lekkie i wykonane z całą doskonałością, na jaką stać obecną technikę. Przygotowanie ich poprzedziło blisko 10 lat wytężonej pracy nad badaniem górnej atmosfery przy pomocy rakiet, które w swych głowicach musiały przenosić te właśnie coraz bardziej udoskonalane przyrządy.

Nie znamy dokładnej budowy satelity. Wszystko jednak wskazuje na to, że będzie to coś bardzo zbliżonego do projektu opracowanego przez amerykańskiego profesora Singera z Maryland, a znanego pod nazwą MOUSE (Minimal Orbital Unmanned Satelite of Earth). Nie popełnimy więc wielkiego błędu, jeśli na podstawie tego projektu spróbujemy dać opis oczekiwanego satelity. Wedle projektu tego będzie on posiadał urządzenia do pomiaru promieni kosmicznych i cząsteczek, wysyłanych przez słońce, a wywołujących zorze polarne (prawdopodobnie protony), przy czym osobne urządzenie będzie rejestrować promienie gamma i elektrony. We wnętrzu jego znajdować się będą też przyrządy do rejestrowania promieni Roentgena (X-rays), wysyłanych przez słońce. Przyrządy będą zaopatrzone w okienka: jedne przepuszczające tylko te promienie, a drugie mierzące natężenie promieni nadfiołkowych; zaopatrzone w okienko berylowe, przepuszczać mają jedynie te promienie. Ponadto będą urządzenia mierzące mikroskopijne meteory, przyrządy do pomiaru pola magnetycznego ziemi, a dalej specjalne urządzenie mierzące natężenie światła odbitego przez chmury (albedo). Będą również urządzenia do odbijania promieni radarowych, wysyłanych z ziemi. Wreszcie satelita będzie zaopatrzony w małą radiostację nadawczą, aby mógł swe obserwacje automatycznie przekazywać na ziemię. Według pierwotnego projektu prof. Singera, w środku satelity miała być szpula z taśmą stalową dla notowania wysyłanych sygnałów, na wypadek, gdyby któryś nie doszedł. Wobec tego jednak, że — wedle obecnych planów — satelita spali się przy powrocie na ziemię, tego rodzaju taśma na pewno nie będzie potrzebna.

Bateria słoneczna. Wszystkie te urządzenia wymagają energii, by mogły spełniać swoje funkcje. O tym, aby przenosić ze sobą baterie elektryczne jako źródło energii, trudno myśleć, gdyż byłyby one zbyt ciężkie w stosunku do satelity. Potrzebna będzie tylko mniejsza ilość bateryj dla magazynowania energii baterii słonecznej.

Dzięki poważnemu postępowi badań, dokonanych niedawno na polu wykorzystywania energii słonecznej — (przez amerykańską firmę Bell Telephone Laboratories) — sprawa potrzebnego zapasu energii dla przyrządów satelity jest już rozwiązana. Jak bowiem stwierdzono, odpowiednio potraktowana cieniutka płytka czystego krzemu przemienia padającą na nią energię świetlną prawie w 10% na energię elektryczną. Przy warunkach oświetlenia na ziemi, jeden jard kwadratowy takich płytek może dać energię stu wat. Ile dać jej może na wysokośli 300 mil, gdzie światło słoneczne, a zwłaszcza jego najbardziej energetyczne składniki, nie zostały jeszcze w pewnej mierze pochłonięte przez atmosferę, na to trudno odpowiedzieć.

Z drugiej strony należy pamiętać, że ta bateria słoneczna pracować będzie jedynie przez pół dnia, kiedy satelita nie będzie w cieniu ziemi. Wreszcie nie cała powierzchnia satelity będzie mogła służyć jako bateria słoneczna. Uwzględniając te wszystkie dane można przewidzieć, że moc baterii słonecznej satelity wynosić będzie 25 do 50 watów, a więc tyleż co 6 do 12 dwuwoltowych akumulatorów, pracujących przy natężeniu dwu amperów.

Aby jednak bateria ta dała możliwie największe natężenie, jej czas działania musi być jak najdłuższy. W tym celu satelita otrzyma szybki obrót dokoła osi, aby w ten sposób zapewnić jej stałość w przestrzeni i tym samym dzięki temu działaniu, podobnemu do zachowania się szybko obracającego są bąka (efekt gyroskopu), mieć stale jedną i tę samą powierzchnię zwróconą ku słońcu.

Cena satelity i koszt całej imprezy. Warto zauważyć, że — mimo dość skomplikowanych urządzeń — cena samego satelity nie przekroczy jakichś 50 do 100 tysięcy dolarów. Koszt całej imprezy natomiast wyniesie około miliona dolarów, co zresztą nie jest wcale tak wiele, jeśli uwzględnić, że nowoczesny bombowiec kosztuje do 25 milionów dolarów.

Jeśli chodzi o szczegóły budowy, to warto może dodać, że — jeśli wierzyć doniesieniom prasowym — rakiety wyrzucające satelitę nie będą miały brzechw, tak charakterystycznych dla wszystkich dotąd znanych rakiet. Usiłuje się to uzasadnić tym, że na początku, gdy szybkości lotu są małe, brzechwy stabilizują słabo, a gdy rakieta jest w rozrzedzonym powietrzu, ich skutek jest żaden. Jakkolwiek to ostatnie twierdzenie jest słuszne, nie wolno zapominać, że zadaniem brzechwy na wzniesionej części toru pocisku jest zamortyzowanie początkowych zaburzeń lotu powstałych na skutek niedokładności wyrzucenia (zwłaszcza większych w rakiecie, niż w pocisku wystrzelonym z lufy), a ponadto przeciwdziałanie zaburzeniem wywołanym przez siłę ciążenia i nieregularności powietrza. I pomimo że lot rakiety jest początkowo pionowy (co wyklucza zaburzenia pod wpływem siły ciążenia), zmienia ona jednak swój kierunek w czasie lotu i leci przez warstwy atmosfery, których wpływu nie wolno zaniedbać. Odrzucenie więc brzechwy może świad-

czyc tylko o tym, że jej działanie statecznika zastąpione zostało działaniem stabilizacyjnym gazów, wypływających z tyłu rakiety, działaniem, które piszący te słowa stwierdził jeszcze w 1939 roku w czasie swych prac w Instytucie Aerodynamicznym Politechniki Warszawskiej, oraz że istnieje jakieś urządzenie samoregulujące kierunek wypływu gazów.

Środkiem napędowym pierwszej rakiety będzie mieszanina alkoholu etylowego z benzyną oraz ciekły tlen. W drugiej rakiecie będzie to kwas azotowy i dwumetylhydrazyna, w trzeciej wreszcie paliwo stałe, a więc jakaś mieszanka prochowa.

Jakie satelita ma zadania? Mimo swej niedużej wielkości, sztuczny satelita będzie miał bardzo liczne zadania do wykonania. Jak już wspomnieliśmy wyżej, będzie on w czasie swego lotu na orbicie mierzył pole magnetyczne ziemi, i ilość mikrometeorów, a więc pyłku kosmicznego wchodzącego w naszą atmosferę, zaś w czasie przechodzenia przez gęstsze warstwy atmosfery będzie raportował jej gęstość i temperaturę. Ponadto będzie mierzył temperatury panujące w jego wnętrzu i na zewnątrz, co dostarczy cennych informacyj o pochłanianiu i wypromieniowywaniu ciepła słonecznego w warunkach podobnych do przyszłych lotów międzyplanetarnych, a więc będą to niezmiernej wagi dane dla konstruktorów.

Pomiar „albedo" ziemi, będący miarą tej części promieni słonecznych, jakie ziemia odbija, jest doskonałą miarą stanu zachmurzenia, gdyż chmury odbijają znacznie więcej światła, niż sama ziemia. Będą to więc pierwsze kompletne i długotrwałe dane o zmienności zachmurzenia ziemi. Z punktu widzenia, znajdującej się wciąż jeszcze w powijakach, meteorologii — będzie to zatem materiał wprost nieoceniony.

Duże znaczenie przypisuje się również obserwacji samego lotu satelity. Jak to już wspomnieliśmy, nawet w najidealniejszych warunkach lot jego nie będzie doskonałą elipsą. Ziemia bowiem nie jest idealną kulą, a wysokości jej powierzchni — choć nieznaczne w porównaniu do 300 mil — są jednak różne, rozłożenie jej mas jest wreszcie niejednolite. Skutkiem tego pole grawitacyjne ziemi nie jest wszędzie jednakowe, co oczywiście przyczyni się do zaburzeń w locie satelity. Dokładna obserwacja tych zaburzeń, wyposrodkowana następnie matematycznie przy pomocy liczydeł elektronowych, pozwoli na lepsze poznanie kształtu ziemi i rozłożenia jej mas, co z punktu widzenia geologii ma bardzo duże znaczenie. Ponadto, gdy satelita, tracąc szybkość, zacznie wchodzić w gęstsze warstwy atmosfery, lot jego da wiele niezmiernie ważnych danych o oporze powietrza, a tym samym o jego gęstości, a pomiar temperatury satelity powie nam, jak dalece opór rozgrzewa jego ściany. Ma to duże znaczenie nie tylko teoretyczne, ale i praktyczne. Bardzo energicznie prowadzone w Stanach Zjednoczonych (i Rosji) prace nad pociskiem rakietowym o nośności 5.000 mil, a więc nad pociskiem międzykontynentalnym, napotykają na wielką trudność, nie w dawno już pokonanej „barierze głosu" ,ale znacznie od niej poważniejszej barierze... ciepła. Aby pocisk rakietowy mógł osiągnąć tak wielką nośność, musi on mieć i szybkości tak znaczne, ponieważ wchodząc na opadającej części toru w gęste warstwy powietrza, napotyka na bardzo duże opory powietrza, na skutek których temperatura jego podnosi się ponad wytrzymałość cieplną wszystkich dotąd znanych materiałów.

Spalanie zabezpieczy przed niespodziankami w drodze powrotnej. Zapewne istnieją dziś już liczne projekty, w jaki sposób zabezpieczyć pocisk przed spalaniem się nawet przy tak wysokich temperaturach, ale to wszystko są jedynie rozważania teoretyczne, którym brak podstawy najważniejszej, a mianowicie dokładnej znajomości oporu powietrza i stopnia rozgrzewania się ciała, które wchodzi z tak dużymi szybkościami w gęste warstwy atmosfery.

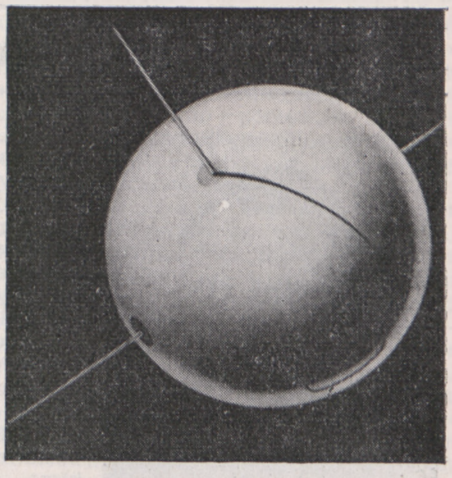
Dlatego też konstruktorzy sztucznego satelity są tak zainteresowani jego zachowaniem się w gęstej atmosferze w czasie lotu powrotnego i nie mają nic przeciw temu, że — pierwsze przynajmniej — okazy satelity spalą się w drodze powrotnej. A ponadto, dopóki nie będzie możności ścisłego obliczenia toru powrotnego (a tego nie można dokonać bez dokładnych danych o oporze powietrza), dopóty nie wiadomo, gdzie sztuczny satelita wyląduje po powrocie. Spalenie go zabezpiecza więc przed niespodziankami.

Badania promieni i górnych warstw atmosfery. Dużą część przestrzeni satelity zajmą przyrządy do badania wszelkiego rodzaju promieni i cząsteczek w górnych warstwach atmosfery. Ziemię bombardują bowiem nieustannie najprzeróżniejsze promienie i drobniuteńkie cząsteczki. Jednak tylko drobna ich ilość dochodzi do jej powierzchni.

Jeśli chodzi o promieniowanie, którego głównym źródłem jest oczywiście słońce, a źródłem drugorzędnym co do natężenia (choć nie co do znaczenia) są gwiazdy, to atmosfera nasza przepuszcza tylko nieznaczną część promieni. Najdłuższe promienie, promienie radiowe, dochodzące do nas z zewnątrz, odbijają się od jonosfery. Dochodzą jedynie fale bardzo krótkie, od centymetra do 20 metrów a ponadto w drobnym stosunkowo paśmie promienie długości kilku milimetrów. To „okno radiowe" fal od centymetra do 20 metrów, dzięki znacznym postępom astronomii, wyjawiło w ostatnich latach wiele tajemnic budowy wszechświata, o których przed tym astronomom się nawet nie śniło. Tym bardziej więc poznanie fal dłuższych, dochodzących do nas z przestrzeni, może jeszcze w większym stopniu wzbogacić naszą wiedzę o świecie. Fale podczerwieni, długości od 1 mm (tysiąc mikronów) do nieco ponad 10 mikronów — pochłania znów nasza atmosfera. Odpowiedzialne są za to cząsteczki wody i tlenu w powietrzu. Krótsza podczerwień, od nieco ponad 1 mikron do 10 mikronów, dochodzi do nas jedynie częściowo, przy czym niektóre długości fal dochodzą mniej lub więcej swobodnie, inne zaś są całkowicie pochłonięte przez cząsteczki wody, dwutlenku węgla i ozonu.

Stosunkowo wąskie pasmo promieni widocznych z wąskim pasemkiem podczerwieni (do niewiele ponad 1 mikronu) i nadfioletu (około 0.1 mikrona) przechodzi względnie swobodnie przez atmosferę, choć i tu część z nich jest przez nią w większym lub mniejszym stopniu, pochłaniana. Krótsze fale nadfioletu, zostają znów pochłonięte przez tzw. warstwę ozonu, która właśnie powstaje na skutek działania tych promieni na drobiny tlenu. Najkrótsze wreszcie promienie, wysyłane przez słońce, promienie Roentgena (X-rays), zatrzymują się po drodze na zjonizowanej warstwie.

W ten sposób z całego bogatego promieniowania słonecznego dochodzi do nas tylko cząstka. A poznanie — i to nie tylko, jak dotąd, dorywcze, ale dokładne i systematyczne tego promieniowania i jego zmienności jest niesłychanie ważne nie tylko dla zrozumienia wewnętrznego mechanizmu słońca (od którego przecież zależy całe życie na ziemi), ale również i dla zbadania procesu pochłaniania tych promieni przez poszczególne warstwy atmosfery. A nie są to tylko zainteresowania teoretyczne. Jak sądzi wielu meteorologów, stopień pochłaniania podczerwieni przez dwutlenek węgla wywiera bardzo wielki wpływ na nasz klimat. Dokładne więc jego poznanie jest szczególnie ważne dziś, gdy miliony kominów na ziemi nieustannie zwiększa zawartość dwutlenku węgla w atmosferze.



Jeden z typów amerykańskich sztucznego satelity, który ma być wystrzelony w 1957 roku.

Z niewymienionych dotąd warstw atmosfery wspomnieć należy jeszcze o warstwie sodu, na wysokości średnio 70 kilometrów, warstwie, której rozproszonym drobinom sodu przypisuje się nocne świecenie nieba.

Bombardujące ziemię cząsteczki. Poza promieniowaniem, ziemię bombardują nieustannie mniejsze lub większe cząsteczki. W pierwszym rzędzie są to meteory, które pozostawiają za sobą długie smugi zjonizowanego powietrza i które w olbrzymiej większości spalają się na wysokościach od jakichś 100 km (mikrometeory) do około 50 km (meteory małe i średnie). Oprócz nich mamy niedokładnie dotąd poznane cząsteczki, odpowiedzialne za wywoływanie zorzy polarnej, prawdopodobnie protony, wyrzucane przez słońce, dalej jakieś niezbyt ściśle dotąd znane cząsteczki zjonizowane, które powodują zmianę pola magnetycznego i zaburzenia w radioodbiorze, a wreszcie może najdokładniej zbadane, ale ciągle kryjące w sobie wiele tajemnic, promienie kosmiczne.

Zadaniem więc sztucznego satelity będzie zebranie możliwie jak najwięcej danych o tych promieniach i cząsteczkach. A że obserwacja jego będzie ciągła i długotrwała, więc powie on nam znacznie więcej, niż wszystkie dotąd wystrzelone rakiety.

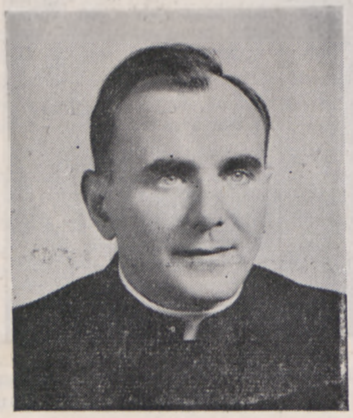
Wedle planu amerykańskiego, oprócz pierwszego satelity, o którym dotąd mówiliśmy, w „roku geofizycznym" 1957-58 wystrzeli się jeszcze 11 innych, przeważnie podobnych do opisanego, lub może nieco większych. Dokładnych danych dotąd brak, wszystko bowiem przemawia za tym, że dalszy plan będzie zależny od wyników doświadczeń z pierwszym satelitą.

W następnym numerze zamieścimy ilustrację i opis projektowanej stacji międzyplanetarnej.

Tadeusz Felsztyn

Ilustracja na str. 11 przedstawia inny typ sztucznego satelity, tzw. „Księżyc" Howarda Perkinsa z Detroit. Satelita ten ma być wystrzelony w roku następnym i krążyć na wysokości 300 mil i z szybkością 14.000 mil na godzinę.

LUDZIE I ZDARZENIA



Ks. Zdzisław Peszkowski, profesor języka i literatury w polskim Seminarium Duchownym w Orchard Lake, w Stanach Zjednoczonych, wykorzystał okres wakacyjny, aby uzupełnić i pogłębić swoje studia humanistyczne. Zaraz po ukończeniu poprzedniego roku seminaryjnego, przyjechał do Europy, gdzie w kilku ośrodkach, a przede wszystkim w Londynie, przeprowadzał studia polonistyczne. Ostatnio ks. prof. Peszkowski wyjechał do Orchard Lake, zaczął się tam bowiem nowy rok seminaryjny. — Ks. Peszkowski jest wielkim i oddanym przyjacielem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas", a przede wszystkim dwóch jego wydawnictw: BIBLIOTEKI POLSKIEJ i ŻYCIA. Z aprobatą powitał zmianę formy naszego tygodnika, twierdząc, iż jej unowocześnienie niewątpliwie znajdzie uznanie wśród polskich czytelników tych krajów, w których podobne typy prasowe są coraz bardziej rozpowszechnione.

Ta piątka pasażerów na gapę, rodzeństwo Zandvliet: 21-letnia Anna z Robertem (8 lat), Pauliną (6), Gerardem (9) i Adrianą (12) sprawiła kapitanowi angielskiego statku „Orontes" nie lada niespodziankę. Pewnego dnia po wyruszeniu okrętu z miejscowości Fremantle w Australii w drodze do portu Tilbury, kapitan odkrył, że pięcioro dzieciaków ukryło się w zakamarkach i podróżuje bez biletu. Rodzina Zandvliet wyemigrowała przed dwoma laty z Holandii do Australii. Naprzód zachorowała ciężko matka, odesłano ją na leczenie do kraju. Niebawem zapadł ciężko ojciec i poszedł do szpitala australijskiego. Dzieci, pozbawione opieki i środków do życia postanowiły wracać do ojczyzny. Pod komendą najstarszej siostry przedostały się na okręt i przed kilku dniami znalazły się w porcie angielskim, skąd mają być odesłane do Holandii, dokąd płynie obecnie również i ojciec. Postanowił nie rozłączać się z rodziną i leczyć się w kraju.



*

Paavo Nurmi, jeden z najlepszych biegaczy - rekordzistów wszystkich czasów, ma w tej chwili lat 59 i żyje spokojnym życiem mieszczanina w stolicy swojej fińskiej ojczyzny, Helsinkach. Jego czynne życie sportowe dawno się skończyło, ma w Helsinkach trzy wielkie domy i duży sklep konfekcji męskiej, ale sportem interesuje się nadal, pokazując się od czasu do czasu na wielkich zawodach międzynarodowych. I wtenczas miłośnicy sportu przypominają sobie, że żyje jeszcze człowiek, który trwa jako legenda w wyobraźni każdego sportowca. Przypominają sobie tę olśniewającą karierę, która zaczęła się we wczesnych latach dwudziestych naszego stulecia, zabłysła na Olimpiadach, zwłaszcza na Olimpiadzie w Paryżu w r. 1924. Nurmi ma za sobą dziewięć różnych zwycięstw olimpijskich i wielką liczbę rekordów światowych. Nazywano go „milczącym Finem", ponieważ odznaczał się małomównością. Wydawało się, że jest symbolem skupienia, gdy — pozbawiony śladów zmęczenia — pruł powietrze w biegu, który podobny był do lotu.

*

David Ben Gurian, premier państwa izraelskiego, ukończył w tych dniach 70-ty rok życia. Niezły wiek, jak na człowieka, który rozwijał przez całe życie intensywną działalność i który od wielu lat kieruje państwem swego narodu wśród dosyć trudnych warunków politycznych na Środkowym Wschodzie. Zapalczywy Ben Gurian często sam przyczynia sobie trudności i komplikuje sytuację, i bez tego dosyć poginatwaną. Tuż przed wybuchem kryzysu sueskiego wydawało się, że napięcie pomiędzy Izraelem a Egiptem przemieni się znów w otwartą wojnę, jak w roku 1948. W tej chwili jednak uwaga świata arabskiego skierowana jest gdzie indziej, a państwa zachodnie bardziej są skłonne do wysłuchiwania planów Ben Guriana. Ale przecież każdy znający stosunki w tym regionie wie, że sprawy izraelsko-egipskie są tylko odłożone i że stanowisko premiera Izraela nie należy do spokojnych.

*

Kimio Mukoda, cieśla z Hiroszimy, zmarł ostatnio w następstwie promieniowań atomowych, w których zasięgu znalazł się w roku 1945, w czasie bombardowania jego miasta rodzinnego. Od owego czasu porażony promieniowaniem atomowym Mukoda cierpiał na stały zanik białych ciałek krwi. Jest to czternasty w tym roku zgon w następstwie wybuchu w Hiroszimie.



Helena Łubieńska de Lenval, wybitna znawczyni zagadnień wychowawczych i religijnych, zwróciła na siebie niedawno — nie po raz pierwszy — uwagę krytyki katolickiej książką pt. „LA LITURGIE DU GESTE".

Książka ta, jak wskazuje tytuł, ma na celu oświetlenie czytelnikom — duchownym i świeckim — ogromnej roli postawy i gestu w modlitwie i liturgii. Cztery jej części: „Gest liturgiczny Jezusa Chrystusa", „Gesty liturgiczne Starego Testamentu", „Gesty i struktura obrzędów liturgicznych" i „Gest liturgiczny — wyraz pełnego oddania się człowieka", napisane pięknym przejrzystym językiem, przekonują nas o potrzebie przywrócenia „modlitwie ciała" znaczenia, jakie dawniej posiadała ona w chrześcijaństwie.



Marian Czuchnowski, wybitny poeta i powieściopisarz polski, którego nowa powieść „PIERŚCIEŃ I ZAMIEĆ" ukazała się ostatnio na rynku księgarskim. Powieść cieszy się wielkim powodzeniem, urzekając czytelnika porywającą treścią i pięknem pisarskiego słowa.

PO ŁEPKACH

POKOLENIE

POKOLENIE, z łacińska generacja, to pojęcie szerokie i złożone. Najłatwiej je ustalić w rodzinie: dzieci to nowe pokolenie, następne po rodzicach. Pokoleniem starszym od rodziców są dziadkowie, a młodszym od dzieci wnuki. Pokoleń nie da się określić latami. Bywa, że potomstwo mają już rodzice kilkunastoletni, jak to np. jest dziś na porządku dziennym w Polsce, bywa też, że pierwsze dziecko rodzi się z ojców czterdziestoletnich, a nawet pięćdziesięcioletnich. Różnice wieku między rodzeństwem z tych samych rodziców mogą sięgać trzydziestu i więcej lat. Jakże często wujkowie i stryjenki bywają młodsze od swych siostrzenic i siostrzeńców!

Zupełnie inne znaczenie ma generacja w życiu społecznym. Różnicę między pokoleniami ustaliło się na lat trzydzieści. Gdy człowiek ma te lata, wówczas już zwyczajnie posiada drobne dzieci — nowe pokolenie. Ale tu się wyłaniają nowe trudności w sprecyzowaniu pojęcia. Wszak nie wszyscy rodzice muszą już mieć dzieci w latach trzydziestych swego życia, nie mówiąc o zwykłej różnicy między wiekiem żony i męża, a poza tym cóż wspólnego ma pojedyńcza ludzka rodzina z historią społeczną? Przecież dzieci nie rodzą się wedle jakiegoś dziejowego kalendarza! Toteż pokolenie w znaczeniu społecznym jest pojęciem wyłącznie pomocniczym. Mówimy o generacji polistopadowej, przedwrześniowej, z przełomu XIX stulecia itp.

A jednak słowo pokolenie jest używane nadzwyczaj często. Co dzień mówimy o starszym i młodszym pokoleniu, o różnicy pokoleń, o nowym pokoleniu w Kraju i na emigracji itd. Cóż więc ten wyraz właściwie znaczy? Nasza emigracja trwa zaledwie 11 lat, mimo to jednak, i to od dość dawna, mówimy o nowym pokoleniu emigracyjnym. Ba, nieraz się słyszy o „dorastającym", a nawet „dorosłym" pokoleniu emigracji! O trzydziestokilkuletnich młodzieńcach rzadko kto inaczej myśli niż w kategoriach „nowego emigracyjnego pokolenia", aczkolwiek spędzili oni swą młodość w Polsce i zwykle mają za sobą polską szkołę średnią. Wielu z nich zdołało też odbyć służbę wojenną.

W naszych czasach wiek ludzki znacznie wzrósł dzięki postępom wiedzy. Kiedyś, w dawnych wiekach, mniej więcej do końca XVIII stulecia, przeżyć trzydzieści lat udawało się bodaj mniejszości ludzi. Dziś na Zachodzie regułą jest siedemdziesiątka. W związku z tym ludzkość żyje jakby wolniej. W dawnych wiekach małżeństwo zawierali kilkunastoletni oblubieńcy, nierzadko już czternastoletni. Dziś osoby dochodzące trzydziestki jeszcze się często nie zdołały na zmianę stanu cywilnego zdecydować. Dawniej, jeszcze za czasów naszych romantycznych wieszczów, starą kobietą nazywano dziewczynę trzydziestoletnią, nawet jeszcze Asnyk mając lat 27 pisał wiersz zaczynający się od słów: „Gdybym był młodszy, dziewczyno...", a dziś jest się „obiecującym młodzieńcem" aż po czterdziestkę. Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie ufundował „nagrodę młodych" dla pisarza w wieku lat 35! Kiedyś te lata uważano za wiek podeszły. Szczyty twórczości wybitnych poetów i artystów przypadały około lat dwudziestych. Lata trzydzieste uważano już za jesień życia. Przed ostatnią wojną człowiek dwudziestopięcioletni uchodził za całkowicie dojrzałego. Studenci w tym wieku byli zupełnymi wyjątkami.

Skądże więc na emigracji „młode pokolenie"? Niewątpliwie nie wiek przesądza o tym przydziale, lecz historia. Ściśle bowiem rzecz biorąc, górną granicą wieku nowego pokolenia emigracyjnego, a więc zrodzonego na emigracji, jest rok dziesiąty. Młodzeiż od 11 do 16 roku życia należy już do pokolenia wojennego, natomiast wszyscy młodzi ludzie od 17 roku życia w zwyż należą do pokolenia przedwojennego. O pokoleniu emigracyjnym i wojennym mogą mówić na razie tylko nauczyciele w przedszkolach i szkołach średnich. Młodzież uniwersytecka zas to pokolenie przedwojenne, przedwrześniowe.

Często jednak mówi się o różnicy poglądów dwu pokoleń na emigracji. Czy rzeczywiście są to różnice między dwoma pokoleniami?

Wbrew obiegowym powiedzeniom, w życiu nie ma wcale spięć i starć między pokoleniami. To zbyt od siebie odległe bieguny, aby się mogły ścierać. Komu by np. przyszło do głowy zwalczać dziś poglądy naszych ojców z okresu ich lat męskich, a więc np. w przypadku autora tych słów, z ostatnich lat pierwszej wojny światowej? Takie zamierzchłe dzieje traktuje się z pobłażaniem i szacunkiem, mniej więcej jak czasy Sobieskiego czy Króla Stasia, zwłaszcza, że się nie ma o nich prawie żadnego pojęcia. Ś. p. Profesor Stanisław Stroński mawiał nieraz: „Kto nie żył w wieku XIX, ten nie żył wcale". Któż by mógł zaprzeczyć?

Różnice poglądów natomiast występują w obrębie tego samego pokolenia. Każde pokolenie dojrzewając kształtuje swoje poglądy. Toteż nas przede wszystkim, za młodu świadków życia w niepodległej Polsce, do pasji dziś doprowadzają ówczesne poglądy i sposób życia. W młodości człowiek przyjmuje zastany porządek za normalny i dopiero dorastając i nabierając doświadczenia zaczyna mu się krytycznie przyglądać i właściwie go oceniać. Człowiek zdolny jest przeciwstawić się tylko swoim własnym doświadczeniom, ocenić tylko swoje własne przeżycia, wysnuć wnioski tylko ze współczesności. Zmieniać zaś pragnie nie to, co było przed nim, lecz tylko to, co było za niego. Nie nowe pokolenie posiada zatem krytyczny stosunek do dwudziestolecia niepodległości i do klęski roku 1939, lecz to, które tą niepodległością żyło i w ostatniej wojnie brało czynny udział. Pokolenie niepodległej Polski.

Wszystkie sprawy tych czasów będą kiedyś odległe i niezrozumiałe dla dorastającego pokolenia wojennego i emigracyjnego. Natomiast trzydziestoletnia młodzież należy jeszcze do pokolenia przedwojennego. Jej stosunek krytyczny do porządków w drugim dziesięcioleciu niepodległości, do sposobu prowadzenia wojny i polityki w latach następnych, do podziemia, działań sił zbrojnych w Kraju i na obczyźnie, jest zrozumiały i naturalny, chociaż bardzo często gołosłowny, ale to już całkiem inne zagadnienie. Dziwić jednakże musi odwracanie się od tych spraw i ich wyrzekanie. To bowiem jest równoznaczne z wyrzekaniem się swojego dzieciństwa i młodości, czyli kaleczeniem swojego człowieczeństwa. Młody człowiek, miotający piorunv na nieprzygotowanie narodu do wojny, na przywódców AK, na taką czy inną partię polityczną, czy męża stanu, jest normalnym człowiekiem z krwi i kości, natomiast trzydziestoletni baranek, dla którego dzieje Polski zaczęły się od roku 1946, to przykre i zawstydzające zjawisko.

Wydaje się, że wśród młodzieży — niestety, już trzydziestoletniej — panuje obecnie moda ignorowania dziejów i spraw polskich z okresu lat 1918-1946 i ich naturalnego ciągu aż po dzień dzisiejszy. Zastąpić to ma własna filozofia dziejów, nabyta na rynkach zagranicznych, w której, poza pozorami, nie ma wiele miejsca na poważne zajęcie się sprawą własnej ojczyzny. Nie można też wybierać sobie z dziejów Polski, jakby ze sklepu z materiałami, kart jasnych i chwalebnych. Polak musi ponosić pełne konsekwencje swojej polskości, dźwigać całe jej, dobre i złe, dziedzictwo. A w szczególności odpowiedzialny jest za stosunek do własnego pokolenia.

J. B.

JESIEŃ W PUSZCZY LITEWSKIEJ

Kto nie zdążył odpocząć latem, tego zapraszamy na wspaniały odpoczynek w miesiące jesienne do ładnej i cichej miejscowości w Headley Park, blisko Farnham, 45 mil od Londynu. Wszelkie informacje: Lithuanian House Ltd., 1 Ladbroke Gardens, London, W 11. Tel. PAR 2470.

POSZUKIWANIA

Prof. Franciszka WOJTOWICZA (historyka), Jerzego JACHIMOWICZA (ekonomistę) i jego żonę Barbarę, oraz Jerzego CZUMĘ poszukuje Anna Weber (z domu Marzys), Villeneuve-sur-Yonne, rue l'Usine á Gaz, (Yonne), France.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

ROK X NR 41 (485)

Niedziela, 7 października 1956 r.

Wydaje:

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS", — 12 Praed Mews, London, W.2. Telefony: AMBassador 6879; PADdington 9734

Redakcja: Godziny przyjęć codziennie z wyj. sobót, niedziel i świąt g. 3 - 4 pp. Redakcja rękopisów nie zwraca.

Administracja: Czynna codziennie od 9-12 i 2-5 z wyj. sobót, niedziel i świąt.

Prenumerata (płatna z góry): miesięcznie: szyl. 4/6, dol. 0.75, fr. fr. 225; kwartalnie: szyl 13/-, dol. 2.00, fr. fr. 650; półroczn.: s. 26/-, dol. 4.00, fr. fr. 1.300.

Wpłaty: a) **w krajach bloku szterlingowego:** Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji „Życia".

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez 1 łam — £ 1, dol. 3.00, fr. fr. 1.000. Kolorowe 100% drożej.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Argentyna: „Libreria Polaca", Serrano 2076, piso I. Buenos Aires. **Australia: „Spolem",** 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A. **Belgia: Mme E. Kulakowska,** 129 Rue du Cornet, Bruxelles 4. Pren. kwart. 90 frs. **Brazylia: Książnica Polska,** Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; **ks. dr Antoni Łatka,** Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. **Dania: Ks. O. J. Szymaszek,** Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. **Francja: Ks. K. Stolarek,** 29 Av. du Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.), CC 5 603 40. **Holandia: B. Galas,** Fagelstraat 15A, Breda. **Kanada: Canadian Mosaic Publishers,** Suite E, 4118 Western Ave., Montreal 6; **International Book Service,** 57 Queen Str. W., Toronto. **Niemcy: St. Mikiciuk,** Gablonzerstr. 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 8 DM. **Norwegia: B. Łubiński,** Kongesgat 2, Moss. **Stany Zjedn.: „Gryf Publication",** 296 Sheridan Ave., Albany, N.Y.; **M. Kijowski,** 380 North Ave., Dunellen, N.J.; **„Pomoc" — Eksport-Import,** 761 Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y.; **S. J. Rozmysłowicz,** 5718 St. Lawrence, Detroit 10, Mich.; **Mme J. Stojanowska,** 424 Ave. „E", Bayonne, N.J.; **Veritas Americana,** 134-09 Cherry Ave., Apt. 3B, Flushing 55, N.Y. **Szwajcaria: Mme B. Gierszewska,** 4 Rue Simplon, Fribourg, konto poczt. No 11a 5275 — Fribourg. Pren. kwartalna 5.00 fr. **Szwecja: Mgr. B. Kurowski,** Lund, Revingegatan 13B. **Pren. kwart.** 10 krs. **Włochy: Mme Z. Bułhak-Jelska,** via Salaria 300 C Roma.

PUNKTY WIDZENIA

ROZRÓŻNIENIE ZASADNICZE

Od jakiegoś czasu podrzucają nam tu, na emigrację, najrozmaitsze pomysły i sformułowania, mające rzekomo określać sytuację w Polsce. Nad tymi „żabkami" pracują w reżymowych resortach całe biura speców od propagandy i znajomości spraw emigracyjnych, więc tych pomysłów jest bardzo wiele, a niektóre z nich są dość chwytliwe.

Dziś pragnę zająć się jednym z takich preparatów, który z uporem od sześciu miesięcy podrzucają nam tu w różnej formie zdobywcy i dzierżyciele Polski. Chodzi o produkt, który nosi podniosłą nazwę „prawdziwego głosu kraju". Otworzono tamy bezinteresowności, jeśli chodzi o gratisowe podarunki z różnych pism reżymowych, i strumienie niezliczonych tygodników i miesięczników zalewają glebę emigracyjną. Na skutek „odwilży" w pismach tych pojawia się moc tak zwanych „odważnych" artykułów, ba, nawet zdarza się ostre krytykowanie reżymu.

Dochodzą do tego różne audycje i druki przeznaczone dla emigracji. Dramatycznym zawołaniem wskazują one na te „odważne" artykuły i powiadają: „Oto nieskrępowany głos Polski!". A równocześnie przyjeżdżają z Kraju różni ludzie. Jest wśród nich spora ilość osób, które przybywają w odwiedziny do krewnych. Ale znajduje się i niemała liczba członków tzw. delegacji przemysłowych, technicznych, handlowych, literackich. Zawsze wśród tych delegatów znajdzie się garstka osób, które — powołując się na reprezentowanie Kraju — obwieszczają w patriotycznych słowach zalecenia dla emigracji. „Kraj uważa, że rozpoczął się proces zdobywania prawdziwej niepodległości i że wobec tego emigracja powinna porzucić swoją izolację wobec rzeczywistości krajowej".

Podrobione „głosy Kraju". Znam literata, który na skutek tych „głosów kraju" lata po Londynie i szepleniącym jęzorem opowiada, iż „Kraj się domaga, abyśmy wszyscy zaczęli drukować w Polsce i nawiązali łączność z pismami literackimi w Warszawie". Znam innego, który w kawiarniach wykłada doktrynę handlową: „Kraj się domaga, aby polscy handlowcy z emigracji zakładali filie przedsiębiorstw krajowych i w ten sposób pomagali rozwojowi gospodarczemu Polski". Jeszcze inny przyszedł do mnie i atakował mnie obowiązkiem popierania całą siłą zagranicznych placówek PKO, twierdząc, że „to wzbogaca Polskę". Jest tych osłów mała garstka, ale bądź co bądź są.

„Polska się domaga...", „Głos Kraju stwierdza..." Ale któż jest tą Polską, która się domaga? Postarajmy się odpowiedzieć na to zasadnicze, rozstrzygające pytanie.

Mapa topograficzna polskości. Cały żywioł polski, który obecnie, w roku 1956, znajduje się na świecie, rozpada się na dwie zasadnicze grupy.

Grupę pierwszą stanowi oczywiście trzydziestomilionowy naród polski, wadzący się w drobnostkach, ale monolitowy, jeśli chodzi o rzeczy zasadnicze, a więc: religię, wolność, typ kultury, stosunek do Sowietów, stosunek do sprawy niemieckiej, pogląd na granice, pogląd na Ziemie Odzyskane. Te trzydzieści, czy trzydzieści kilka milionów ma swój trzon zasadniczy dwudziestosiedmiomilionowy w Kraju i parę milionów na emigracji politycznej, dawnej i nowej. T r z e b a z c a ł y m n a c i s k i e m i z g o d n i e z n a j c z y s t s z ą p r a w d ą p o w i e d z i e ć, ż e t r z o n n a r o d u, n a r ó d w K r a j u j e s t p o z b a w i o n y w d a l s z y m c i ą g u p r z e m a w i a n i a i z a b i e r a n i a g ł o s u. W ostatnich latach przemówił dwa razy: raz w Poznaniu, w czerwcu tego roku i drugi raz w Częstochowie przy końcu niedawnego sierpnia. Za każdym razem inaczej, ale w obydwu wypadkach autentycznie. Poza tym Kraj musi milczeć. Powoływanie się więc „na głos Kraju" jest nadużyciem. K r a j m ó w i ć n i e m o ż e.

I druga grupa, sług koncepcji komunizmu sowieckiego, „ustroju socjalistycznego", jak się to u nich uroczyście mówi. Ta grupa dzieli się również na dwie części: kilka tysięcy przeszkolonych w Moskwie wiernych rozkazodawcom politruków i kilkadziesiąt, czy — jak chcą niektórzy — kilkaset tysięcy oportunistów, którzy przywdziali kolor ochronny i pomagają rozprowadzać koncepcję komunistyczno-sowiecką wszerz i w głąb, udając, iż wierzą, że „socjalizm" jest zbawieniem świata.

Jest aż nadto widoczne, że z chwilą nastania „odwilży" ci właśnie oportuniści zaczęli fikać dość ostro, bo ich sumienie i wstyd gryzie, ale niech się nikt nie łudzi, że nie jest to fikanie „z ubezpieczeniem", bo ich reżym nie puścił cugli, a oni poza dozwolenie iść nie zamierzają.

Kogo wybrano na reprezentantów Polski? Wracając po tej analizie do postawionego na wstępie pytania, trzeba powiedzieć, iż tymi, którzy wydają tak emfatycznie nazywany „Głos Kraju", są właśnie ludzie z grupy oportunistów. Im tę rolę powierzono. Reżym wie, że pronónsowani komuniści byliby z miejsca odrzuceni. Więc ich nawet na emigracji nie próbują. „Głos Kraju" powierzono oportunistom w kolorze ochronnym. To oni wyskakują z różnych delegacji do ośrodków emigracyjnych. Namiętnie poszukują spotkań z emigrantami i szeptem — aby było uroczyściej — zwierzają się, że nie trzeba się już przeciwstawiać „Czytelnikowi", że trzeba rozpowszechniać „Naszą Ojczyznę", że trzeba pomagać zagranicznej ekspansji handlowej różnych „spółdzielni wytwórczych", zakładać sklepy i popierać PKO. „Kraj się tego domaga..."

Kraj się nie może, niestety, domagać. Bo ma założony na usta tłumik. Jeśli się domaga, to — milczeniem. W tych zaś wszystkich szeptach i imitowanych „głosach Kraju" mówi plan komunistyczny ustami oportunistów na służbie, ludzi albo głupich albo niecnych.

J. K.

Printed by Veritas Foundation Press. 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734